

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

A. MINKOWSKI

Sprawa Antka Zimnego

Ulubionym zwrotem Antka Zimnego było „mam to w...”. Wymawiał go powoli, z lubością, smakując jak haust tegoż wina.

— Te, starszku, zrobiłeś już konspekt z lektury?

Antek unosił się z postania na łokciach, mrużył oczy i przeciągał leniwie literkę po literce:

— Mam to... wiesz gdzie?

Wkładał w ten zwrot pełnię swej pogardy i lekceważenia dla wszelkiego rodzaju obowiązków i reguł, jakie próbuje się nań nałożyć.

— Iść na ćwiczenia? Mam to w... Lubię pospać, rozumiecie, to dobre dla zdrowia. Ze się powinienem przygotować do kolokwium z greki? E tam, chłopaki, dajcie mi spokój. Nie ja tę grekę wymyśliłem, he?

Zadowolony ze swego konceptu odwracał się na lewy bok i uciniał cenną dla zdrowia drzemkę.

W dzienniczku starosty zebrało się tyle opuszczonych przez Antka zajęć, że wystarczyłoby na obdzielenie naganami z wpisaniem do akt chyba pięciu studentów. Ryś Cilepak, sąsiad z górnego łóżka, ostrzegał:

— Antek, ty się doigrasz, byku. Wyleją cię na zbity łeb i co zrobisz? Stypendium ci odbiorą, wywalą z akademika,

— Mam to... Ja jestem syn klasy robotniczej. Ojciec górnik, w partii od 1946 roku, rozumiesz? Inteligentów, mamisynków mogą wyrzucić, a mnie — wara. Wytypowali na studia to muszą tak zrobić, żeby im skończył.

Ryś Cilepak wiedział, że trochę prawdy w tym jest. Komisja Dyscyplinarna przecież patrzy na Zimnego z perspektywy szpar między palcami. ZMP obchodził się z nim jak z jajkiem — mówią, że trzeba pomóc, wychować. Wzywają na zebrania zarządu i wstawiają mądre gadki o treści umoralniającej:

— Jesteś studentem w Polsce Ludowej, tak czy nie? Jesteś synem klasy robotniczej, z uświadomieniem klasowym i czujnością proletariacką, tak czy nie? A ty tak robisz... Wstyd, Zimny. Powinieneś poprawić się, chodź na zajęcia, dobrze zdawać egzaminy. Bo inaczej, to źle będzie z tobą. Zastanów się, przeanalizuj swoje postępowanie.

— Mam to...

Na głos Antek tego nie wypowiadał. W duchu. Na głos mijał i wszyscy myśleli, że Zimny czuje skruchę, pomyśli i zmieni postępowanie.

Jakoż zbliżała się sesja, a z nią groźny egzamin z gramatyki staro-cerkiewnej. Najmocniejszych przejmowały dreszcze. Wkuwano indywidualnie i zespołowo, w powietrzu

krzyżowały się metafizyki i aorysty, zaplatały w gąszczach Kodeksu Zoograficznego. Atmosfera gorączki uderzyła się potrosze i Zimnemu. Bo z profesorem — jak twierdzili zgodni starszoročníacy — żarów nie ma. Pochodzenie robotnicze zda się tu psu na buty. Albo umiesz, albo żegnaj, studentka doła. Tego drugiego ojciec — górnik i partyjniak — nie daruje. Mimo, że syn ukończył już dawno dwudziestkę, gotów mu każdy aoryst na gębie pięścią odliczyć.

Antek siadał do podręcznika. Nie chciał mu się, chętnie uciąłby drzemkę. Ale zamykał oczy i dukał słonę po stronie. Kiepsko mu szło, jak przysłowiowa krew z nosa.

— Ryś, nie wiesz co to za „jer”? — Wiem, byku. To przy trzeciej palatalizacji, w połączeniu w tylnojęzykowymi...

— Daj spokój. Fige wiem z tego. Coś pochrzanileś, Ryś.

Antek szedł na egzamin pełen złości i zupełnie uzasadnionych przeczuc. Nie zawiodły go. Na kartce, którą wyluskał ze stosu innych, były trzy tajemnicze pytania, których nawet nie próbował rozszyfrować...

Specjalne zebranie zarządu poświęcone sprawie Zimnego. Huknięcie się w pierś: „To nasza wina, proszę kolegów. Nie wychowaliśmy, nie potrafiliśmy, tak... To nasz człowiek. On musi ukończyć studia. Z niego będzie budowniczy... Trzeba mu pomóc, proszę kolegów, tak...”

Poprawkowy egzamin miał się odbyć za tydzień. Antek obliczył, że to stanowi 168 godzin czyli 10.080 minut. Pomoc takiego specja jak Czesiek Żytnik — to oszczędność w czasie prawie o połowę.

Zarząd zobowiązał Żytnika do pomocy Zimnemu. „To wasze bojowe zadanie, kolego Żytnik. Musicie być wykonawcami sumiennie, po zetem-powsku, jasne?” Dla Żytnika nie było to zbyt jasne, ale Antek obliczył, że dzięki tej pomocy zyskuje wiele i nie spieszył się. Skoro Zarząd wziął sprawę w swoje ręce — on, Zimny, powinien zdać.

Na kolejnym posiedzeniu Zarządu jednogłośnie uchwalono, że Zimny na zdać egzamin. Wezwano Czesia Żytnika i spytano:

— No jak?

Czesiek zastanowił się i powiedział, że Zimny może ewentualnie opanować materiał pamięciowo, ale orientować się w tekstach chyba nie potrafi.

To samo pytanie zarząd postawił Zimnemu. „Mam to...” miał już na końcu języka Antek, ale w porę go przygryzł. Po co ich denerwować?

Poprawkowy egzamin przeszedł nielepiej od poprzedniego. Co prawda Antek bał coś o monofongizacji

cji dyfongów, ale ni przypiął ni przylatał. Profesor zdenerwował się:

— Pan nie ma zielonego pojęcia o staro-cerkiewnym. Pan go kompletnie nie rozumie. Ja pana nie dopuszczę do egzaminu komisijnego, to nie ma żadnego sensu.

Antek pogodził się w myślach z siłami od ojcowskich kulaków. Warto dostać po gębie i skończyć raz na zawsze z tą uczelnią, jej reżimem i nudą. Pójdzie do roboty, będzie samodzielnym człowiekiem z własną gołową i szerokimi możliwościami przyjemnego spędzania czasu. Będzie wolny. A nauka — pal ją diabli. Naukę ma Antek gdzieś. Czy on, u licha, tego nie widzą?...

Zwołano nadzwyczajne posiedzenie zarządu ze sprawą Zimnego jako jedynym punktem porządku dziennego. „Ratować Zimnego! Człowiek ginie, podajmy mu pomocną dłoń! To trudny charakter, nie łatwo z nim, ale my go nie opuszczym, proszę kolegów!”

Ktoś coś bąknął o głupiej filantropii i cięgnięciu za uszy, ale zakrzymano go. Zmyto głowę Żytnikowi, że się nie wywiązał, groźno usunięciem z organizacji za lekceważenie jej uchwał. Do profesora posłała specjalna delegacja i pomyślała, że przystało na dopuszczenie Zimnego do komisijnego egzaminu. Zobowiązano Żytnika do tego, aby poważniej niż poprzednio podszedł do sprawy przygotowania Zimnego. Zadanie jako rehabilitacja.

Nazajutrz Czesiek Żytnik odbył z Antkiem następującą rozmowę.

— Byłeś choć na jednym wykładzie?

— Na dwóch.

— A na ćwiczenia chodziłeś?

— Nie pamiętam.

— Masz ty jakieś pojęcie o staro-cerkiewnym?

— Mam to... I nie bądź ty Żytnik taki nudny. Jak ci kazali to mnie przysłuchaj. Bo ci jeszcze z ZMP wyleją jak się będziesz mądrzył.

(Dokończenie na str. 7)

Drodzy Przyjaciele z wyższych uczelni!

Myślimy, że mamy prawo tak Was nazywać. Dał nam wspólny cel, o którym walczymy i Wasz pobyt w naszym zespole w roku ubiegłym. Pomogliście nam dużo, za co składamy Wam serdeczne podziękowania.

Wiedzie, że prawdziwa przyjaźń — a taka przecież istnieje między nami — jest trwałą. Polega ona przede wszystkim na wzajemnej pomocy w trudniejszych momentach. I dlatego dzisiaj zwracamy się do Was z przyjacielską prośbą: pomóżcie nam lepiej wykonać nasze obowiązki względem narodu, tak jak my pomagamy Wam studiować, zdobywać wykształcenie — poprzez zapewnienie warunków życia. Chodzi nam o to, abyście przyjechali latem do naszego Zespołu i wszystkich innych potrzebujących pomocy w sprzecz z bóż.

Nasza placówka — Zespół PGR Dźwierzuty w powiecie szczytnickim — jest ogromną fabryką chleba, mięsa i tłuszczu. Do ubiegłego roku gospodarowaliśmy na blisko pięciu i pół tysiącach ha. Po przejeździe odłogowy areal naszej ziemi wynosi 6889 ha, w tym 5108 ha ziemi ornej. W tym roku obsialiśmy 1542 ha zbożami jarymi i 1740 ha ozimami. Razem więc mamy do zebrania z bóż z 3282 ha.

Stoją więc przed nami poważne zadania gospodarcze. Nasz rachunek, który musimy zdać Ludowemu Państwu, nie jest mały. Musimy zaciążyć rynek gospodarczy: 116 tysiącami kilogramów tuczniaka, 268 kwintalami bydła rzeźnego, 12 tonami drobiu rzeźnego i setkami tysięcy litrów mleka, dziesiątkami tysięcy jaj, tysiącami kilogramów węgla. Musimy dać krajowi 168 ton pszenicy, 1146 ton żyta, 16 ton jęczmienia oraz setki ton owsa.

Czy wykonanie tych zadań jest dla nas sprawą łatwą? Chyba nie musimy Was przekonywać, że trudności mamy sporo. A więc słaba wydajność z ha, która w niektórych gospodarstwach wynosi zaledwie 7,7 kwintali żyta. Dalej, złe warunki wychowu trzody chlewnej (np. w ubiegłym roku pomór zabrał nam 450 sztuk świń). Odczuwamy również brak obornika.



W dniach 7 i 8 maja br. odbyły się w Łodzi Centralne Eliminacje Studenckich Zespołów Świetlicowych. Widzom najbardziej podobał się Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Krakowskiej (patrz zdjęcie), który w tej kategorii zespołów zajął II miejsce. Omówienie występów oraz wyniki eliminacji podajemy na str. 4

Nowe zadania — nowe błędy

JERZY BAJDOR
LESŁAW BAJER

Ostatnie miesiące były okresem obfitującym w szereg ważkich i ciekawych dyskusji. Wniosły one wiele dobrego, zdemaskowały dużo braków i uchybień naszego życia politycznego i kulturalnego. Ogromną większość wypowiedzi cechował ostry i nieradko słuszny krytycyzm. Błędem jednak byłoby nie dostarczać tych wypowiedzi i braków, które ujawniły się w toku polemiki. I w naszym środowisku wrocławskim toczące się dyskusje nie miały bynajmniej jednolitego charakteru.

Nie jest tragedią, że w dyskusjach zdarzały się wypowiedzi obce nam; że tylko, że nie spotkały się one z rzeczową, poważną polemiką. Zawiniła tu swoista dezorientacja wielu ludzi, a wśród nich i aktywni. Zwracał uwagę na nie tow. Lasota w swoim ostatnim artykule „Wroga trzeba gromić” stwierdzając, że częsta cechą toczących się w środowisku studenckim dyskusji jest jej tendencja do wyrażania się w nihilistycznej negacji.

Wobec tej sytuacji aktyw zetem-powski i partyjny staje często bezradny, a nasze środowisko wrocławskie dało na to niejednokrotnie dowody. Pół roku temu każda prawie dyskusja była z góry zaplanowana, miała określony temat, a niekiedy wytypowanych uczestników. W tej chwili jest wręcz odwrotnie.

Oto przykład: na I roku polonistyki Uniwersytetu Wrocławskiego

koło zetem-powskie postanowiło urządzić dyskusję nad „Odwilżą” Erenburga. Wiedział o tym Zarząd Wydziałowy, wiedzieli towarzysze partyjni tego roku, jednak nikt nie затroszczył się, aby poprosić o udział w dyskusji kogoś z wyrobionych politycznie członków partii lub ZMP. Spowodowało to szkodliwe i ujemne skutki. „Odwilż” jako zjawisko literackie nie jest wydarzeniem, popularność swą zawdzięcza treściom ideologicznym. Tak skomplikowany i wcale niełatwy do zrozumienia problem stwarzał podatny grunt do szeregu nieporozumień i błędów.

Złe się stało, że w dyskusji na I roku pominięto merytoryczną problematykę „Odwilży”, ograniczając się do rozważań stylistycznych, czysto formalnych. Złe się stało, że zarówno aktywni jak i uczestniczący w dyskusji asystenci nawet nie usiłowali podjąć polemiki ideowej. A niektóre wypowiedzi studentów dowodziły po prostu niezrozumienia podstawowych problemów teoretycznych.

Obowiązkiem partii i ZMP na wydziale było wyjaśnienie tych spraw. Nie można dopuścić do tego, aby niesłuszne poglądy pozostawały bez należytej odprawy, aby głoszący je zyskiwali nawet pokłask.

Jest rzeczą szczególnie bolesną, że aktywni ZMP często nie potrafili po-

dejmować problemów trudniejszych, ani skutecznie przeciwstawić się poglądom jawnie idealistycznym. Odbija się to i na charakterze naszych seminarijnych polemik. Często popełniamy ten błąd, że wskazujemy na gotowe, ogólne wnioski, nie ujawniając przesłanek. W ten sposób można tylko przekonywać już przekonanych.

Żeby uczyć innych bezkompromisowego docierania do obiektywnej prawdy trzeba i u siebie wprowadzić pewien porządek wewnętrzny.

Porządek ten, to oczywiście nie jakaś automatyczna gotowość odpowiedzi na wszystkie pytania, ale jakaś myśl organizująca własne sądy, nadająca im głębszy sens. Od tej wewnętrznej roboty nikt nas nie zwolni. Wybierając pewien światopogląd robimy to na własną odpowiedzialność. Nie wystarczy tu przyswojenie pewnej sumy wiadomości, trzeba i samodzielnego namysłu, jakiejś osobistej drogi do własnych przekonań. Tylko wtedy pomożemy innym w odnalezieniu podstaw konsekwentnego myślenia.

Brak ugruntowanych założeń u sporej części naszego aktywnu spowodował, iż w ostatnim okresie nie potrafili on właściwie uczestniczyć w toczących się na chodzie dyskusjach i zagubił się w chaosie wszelkiej krytyki. Nikt tu nie radzi, oczywiście, powrotu do dawnych, przewyższających nawyków, ale można i trzeba wymagać od zetem-powa ro-

(Dokończenie na str. 7)

książek tylu ciekawych rzeczy; co się dzieje na świecie, o tym jak lepiej gospodarować, albo co to jest bomba wodorowa.

Nie mieście nam za złe, moł drodzy, żeśmy się tak dużo rozgadali. Ale przecież przyjaciele! Przyjacielowi powie o wszystkim. I nim usprawiedliwimy naszą gadatliwość, musimy się Wam zwierzyć z naszej najpoważniejszej troski. Chodzi nam o brak ludzi do pracy. Przypnijmy, że nasz zespół należy do uprzywilejowanych pod tym względem — na 100 ha ziemi przypada u nas 10 robotników rolnych. Chociaż potrzebujemy 14 ludzi na 100 ha — nie narzekamy, bo wiemy, że są zespoły jak np. Zespół Lipówka w powiecie braniejskim. Zespół Lełkowo w powiecie Górowo Iławieckie, które na 100 ha mają po 4 robotników, czy nowo utworzony Zespół Wielbork, który

robotników stanie tylko 44. A trzeba Wam wiedzieć, że w tym roku powiększyliśmy areal ziemi o dalsze 200 ha, co oznacza, że w tym roku będziemy znacznie więcej potrzebowali ludzi do pracy niż w roku ubiegłym.

Możemy w jednym tylko gospodarstwie Mojtyny zatrudnić kilkadziesiąt studentów, dla których buduje się tam wygodne baraki położone w pobliżu jeziora i w ładnej okolicy. Nie wątpimy, że pomieszczenia nie zostaną puste.

Nie tylko gospodarstwu Mojtyny potrzeba jest Wasza pomoc. Potrzebują jej cały nasz Zespół. Nasze obliczenia, praktyka ubiegłych lat, nasza potrzeba wykazują, że aby wykonać zadania państwowe, musimy mieć ponad 300 pomocników z zewnątrz. Czy rozumiecie, drodzy przyjaciele, nasza prośba wartą już w tej liczbie?

A teraz wyjaśniamy naszą uprzednią gadatliwość. Nie wątpimy, że odpowiedź na nasz list z Waszej strony będzie brzmiała: tak. Nie wątpimy, że pomożecie wszystkim PGR-om w naszym kraju. Nie wątpimy, że przyjeżdżacie do nas z radością i ochotą. Upoważnia nas do tego Wasza praca w latach ubiegłych.

Chcemy jednak, byście się nie ograniczyli tylko do pomocy gospodarczej. Obraz pracy naszej organizacji zetem-powskiej, pracy kulturalnej, sportu, potrzeba pomóżenia wielu ludziom, wyjaśnienie im wielu spraw politycznych, gospodarczych i kulturalnych, powiedzenie im jak należy żyć w naszym społeczeństwie, a nawet nauczanie niektórych pisać i czytać — niech wskaże Wam inne zadania.

Zegnamy Was przyjacielskim do widzenia — do widzenia latem przy pszenicznych i żytnich kłosach.

Za pracowników Zespołu PGR Dźwierzuty

JAN BERNDT — Dyrektor Zespołu I. OZIORO — I Sekretarz Komitetu Zakładowego ZPZR

ZYGMUNT ZIELIŃSKI — Mechanik Zespołu

WANDA TRAWICKA — Instruktor Kult. Ośc.

LEON JABŁOŃSKI — Kierownik Gospodarstwa Łąki Dymerskie

FRANCISZEK SZELEJEWSKI — Kierownik Gospodarstwa Mojtyny

Za sto lat...



(Rys. J. Cwiertnia)

— Możecie pochwalić się swoim pradziadkiem, bo w roku 1955, kiedy byłem jeszcze studentem, wziąłem udział w pierwszej OSOSO...

PRZEBUDZONE KONTYNETY

„Myśliśmy o Afryce, która na nas czeka. Myśliśmy o świecie wobec którego mamy obowiązki. Walczymy bez wycieńczenia, bracie, Życie nie jest snem ani marzeniem!”

(z wiersza „Życie nie jest marzeniem” afrykańskiego poety Muru Ben Dauda — przekład Ewy Fiszera).
Siódmego maja 1913 r. „Prawda” opublikowała artykuł Lenina zatytułowany „Przebudzenie się Azji”. W artykule tym Lenin pisał m. in. co następuje:

„Kapitalizm światowy i rosyjski ruch 1905 roku rozbudziły ostatecznie Azję. Setki milionów ludności zhułkaniej, żyjącej w barbarzyństwie — w kutek średniowiecznego zastoju obudziły się do nowego życia i do walki, o elementarne prawa człowieka, o demokrację.
„Przebudzenie się Azji i początek walki o władzę przodującego proletariatu Europy znaną jako nowa, otwarta z początkiem dwudziestego wieku faza dzieł powstania”.
Gdy czytelnicy „Prawdy” otrzymali cytowane wyżej zdania — przebudzenie dopiero się zaczynało. Trzeba było genialnej przenikliwości Lenina, trzeba było mistrzostwa naukowej precyzji marksizmu, by poprzez pierwsze walki rewolucyjnej, poprzez wrzenie w Indiach i na Jawie dostrzec narodziny nowego, masowego i niezwykle potężnego ruchu.
W czterdziście dwa lata po napisaniu tych słów przez Lenina przebudzenie nowej siły na widowni historycznej stało się już faktem tak oczywistym, że nikogo specjalnie nie dziwi ogromne, żywe zainteresowanie, jakie wywołała konferencja dwóch kontynentów w Bandungu.

Konferencję w Bandungu powitano na świecie z różnymi uczuciami, ale pewnym jest, że wśród tych uczuć najmniej było chłodnej, beznamiętnej obojętności. Dotyczyły to w tej samej mierze nas, co i wroga. O wrogu na początek.
Imperialiści próbowali za wszelką cenę uniknąć potępienia kolonializmu, za wszelką cenę próbowali obrócić w wyzwalających się narodów przeciw obozowi socjalizmu i pokoiu. Temu celowi służyli ich wysiłki przez cały czas trwania konferencji. Gdy zbordniała popielona na dziennikarzach, nie przyniosła oczekiwanych plonów, a ścisłej mówiąc — wywołała efekt wprost przeciwny w stosunku do zamierzonego, do dzieła przystąpili oficjalni i nieoficjalni przedstawiciele Stanów Zjednoczonych. Z apologet „demokracji” amerykańskiej wystąpił renegat murzynski kongresman Adam Clayton Powell, który usiłował dowiedzieć, że „rasyzm w Stanach Zjednoczonych zniknął”, że imperialiści amerykańscy „są przeciwko kolonializmowi”.
Nie odnieśli też sukcesu reprezentanci antykomunistycznej propagandy, którzy jak Carlos P. Romulo z Filipin usiłowali podważyć zasadę pokolowego współistnienia. Te porażki imperialistów są znamienne. Jednymyślnie uchwały konferencji w Bandungu świadczyły, że „wyzwalcą” dorady Departamentu Stanu zyskują sobie coraz mniej posłuchu na wyzwalających się kontynentach.

Skąd jednak paniczny strach przed konferencją, pobudzający aż do humorystycznych uwag, że „Azjatycki” Bandungu świadczy, że „wyzwalcą” dorady Departamentu Stanu zyskują sobie coraz mniej posłuchu na wyzwalających się kontynentach.
Skąd jednak paniczny strach przed konferencją, pobudzający aż do humorystycznych uwag, że „Azjatycki” Bandungu świadczy, że „wyzwalcą” dorady Departamentu Stanu zyskują sobie coraz mniej posłuchu na wyzwalających się kontynentach.

Ale był również inny powód do obaw.
Po drugiej wojnie światowej kolom kierowniczym polityki amerykańskiej dzięki aktywnej pomocy reakcyjnych Anglii, Francji i

innych krajów udało się narzucić światu podział na dwa obozy. Złotować „zarazę komunistyczną” — oto był najbliższy program imperialistów. Rzućcie przeciw wyzwolonym krajom siły wszystkich państw kapitalistycznych wraz z ich koloniami — oto następne ogniowo tego planu.
Przez dziesięć lat polityka rozbijania świata, polityka, której symbolem stała się żelazna kurtyna dozorowana przez FBI-owskich następców Hitlera, napotykała na wytrwały opór krajów obozu socjalizmu. Nowe, w pełni demokratyczne stosunki między narodami zapoczątkowane przez Związek Radziecki i inne kraje naszego obozu coraz silniej przenosiły do przekonania nawet umiarkowanych społeczeństw przedstawicieli krajów kolonialnych i zależnych. Nie przeto dziwne, że rosnący ruch narodowo-wyzwolczy spotkał się z postępującą światową rewolucją socjalistyczną i że ze spotkań tego — wbrew oczekiwaniom imperialistów — wynikała nie wrogość wzajemna, lecz polityka „płeciu zasad” wysuniętych przez Nehru i Crou En-lai.

Ostatnie lata, zwłaszcza zaś ostatnie miesiące, to pasmao potężniejszej walki między imperialistyczną polityką rozbijania świata na dwa obozy według różnicy ustrojów. Jednołity ongiś (przynajmniej w zasadzie) oboz imperialistyczny wstąpił w fazę rozkładu, a socjalizm — przeciwnie — zyskiwał na sile. Wobec tego, co miało miejsce, o tyle w ostatnich miesiącach kraje to wystąpiły wyraźnie z troską — mówiąc słowami poety — „o świat, wobec którego mają obowiązki”.
W tym zainteresowaniu, jakie w Bandungu towarzyszyło delegacji chińskiej, w tym entuzjazmie tłumów, które oklaskiwały flagę chińską przed gmachem Merdeka, znacząc wyraz głęboka prawda naszych czasów — prawdziwa o sojuszu między światową rewolucją socjalistyczną a ruchami wyzwolicielskimi i demokratycznymi na całym świecie. Świadomość tego sojuszu, świadomość roli krajów zwycięskiej rewolucji we francuskiej międzynarodowej walce przeciw imperializmowi, torowała sobie drogę również w pigmynie, podrobnikowym mieście.

Imperialiści oczekiwali sporów między kapitalistycznymi i niekapitalistycznymi uczestnikami spotkania dwóch kontynentów. Doczekali się rozmowy sojuszników. Ten właśnie — wniesiony przez Chiny Ludowe i podtrzymywany przez ogromną większość uczestników konferencji — stanowi jej trwały dorobek. Nie brak było różnic a nawet sprzeczności. Nikt ich też nie usiłuje zamykać. Ale ponad nimi, na plan pierwszy wysuwa się nie łącząca: wspólna walka przeciw kolonializmowi, wojnie i dyskryminacji rasowej.

Historia najnowsza rok po roku potwierdza leninowską przewidywaną „nową fazą dzieł powstania” zmierzającą coraz wyraźniej ku ostatecznemu zwycięstwu nad imperializmem. Tego biegu historii nie potrafią zatrzymać żadne wysiłki klas, którym panowanie nad światem wymyka się z rąk. W 1923 roku Lenin pisał:

„Rezultat walki zależy w ostatecznym wyniku od tego, że Rosja, Indie, Chiny itp. stanowią olbrzymią większość ludności, która włącza się w ostatnich latach z niebywałą szybkością do walki o swe wyzwolenie, tak że w tym sensie nie może być nawet cienia wątpliwości, jakie będą ostateczne rozstrzygnięcia walki światowej”.

„Dziś — bardziej niż kiedykolwiek — dla milionów ludzi wyraźna stała się genialna dalekowzroczność wyrażona w tych słowach.”
J. w.

Na Kongresie francuskich studentów (Korespondencja własna)

Na zaproszenie Narodowego Związku Studentów Francji brałem udział z ramienia ZSP w 44 Kongresie tej organizacji w Nicei, w dniach 12 — 18 kwietnia br.

Narodowy Związek Studentów Francji liczy około 150.000 francuskich studentów uczelni typu uniwersyteckiego. Jest on organizacją zawodową i wg własnych określeń „apolityczną”, zajmującą się wyłącznie sprawami „czysto studentckimi”. Ze względu na te właśnie „apolityczność” NZSF wystąpił przed kilku laty z „politycznego” Międzynarodowego Związku Studentów.

Kongres zgromadził około 300 delegatów reprezentujących Generalne Stowarzyszenia Studentów poszczególnych uczelni Francji. Prace Kongresu i jego uchwały obejmowały bardzo szeroki wachlarz zagadnień takich jak: stypendia, warunki mieszkaniowe, wyżywienie, reforma wyższych uczelni i francuskiego systemu oświaty w ogóle, rządowa i parlamentarna polityka w sprawie organizacji młodzieżowych we Francji, sport studencki, położenie studentów krajów kolonialnych studiujących we Francji i system oświaty w koloniach, kontakty międzynarodowe studentów francuskich i stosunek do międzynarodowych organizacji studenckich.

Niesposób w jednym artykule poinformować o wynikach obrad nad tymi wszystkimi zagadnieniami. Zajmujemy się więc tylko trzema problemami, które skądinąd stanowiły oś dyskusji Kongresu i główną jego treść, a mianowicie: akcją NZSF w sprawie systemu stypendialnego, stosunkiem do studentów kolonii francuskich oraz stosunkiem Kongresu do międzynarodowych organizacji i kontaktów studenckich.

STYPENDIA A DEMOKRATYZACJA

Z sympatią śledziłem walkę studentów francuskich o lepsze warunki bytu, w szczególności ich wielką akcję strajkową w 1953 roku. NZSF dzięki tej walce ma poważne osiągnięcia. W budżecie Francji na 1955 rok sumy asygnowane na stypendia wzrosły o 20%. Lecz warunki życia francuskich studentów są nadal trudne, zaś dostęp do uczelni dla młodzieży robotniczej i chłopskiej niezwykle ograniczony.

Srednia wysokość stypendium wynosi mniej niż połowę ustawowego minimum plac, otrzymuje się tylko około 1/5 studentów. Młodzież robotniczego i chłopskiego pochodzenia stanowi około 5 proc. studentów francuskich uczelni. Wśród szerokich mas francuskich studentów głęboko zapuściło korzenie przekonanie, że system stypendialny jest niesprawiedliwym i niesystematycznym, idea demokratyzacji uczelni stała się niemal powszechna i rozumie się przez nią nie tylko formalnie równy dostęp do nauki, lecz faktycznie równy.

Burzliwe teorie o mniejszych zdolnościach młodzieży robotniczej nie mają praktycznie żadnego oddźwięku wśród mas francuskich studentów. Niesprawiedliwość systemu, który nie daje wszystkim równego dostępu do wiedzy — jest niemal jedynymyślnie potępiana. Moim zdaniem nie bez wpływu na taką sytuację jest przykład ZSRR i krajów demokracji ludowej.

Kierownictwo NZSF wysunęło jako naczelny postulat demokratyzacji uczelni — zastąpienie systemu stypendiów systemem pensji studenckiej, gwarantowanej dla każdego regularnie studiującego studenta w wysokości ustawowego minimum plac, jednym słowem systemem jaki jest w ZSRR, a do jakiego my się zbliżamy. Żądanie to znajduje pełne poparcie ze strony KPF i SFIO, CGT i Force Ouvrière, a także szeregu parlamentarzystów z innych partii, nawet reakcyjnych.

Kongres NZSF ogromną większością uchwalił rozwiniecie szerokiej kampanii o pensje studencką w oparciu o opracowany projekt ustawy. Opozycja, stosunkowo niewielka, broniła systemu stypendiów, domagając się jego rozszerzenia, argumentując swe stanowisko także demokratyzacją uczelni, (że jakoby niesprawiedliwe jest, by ci, którym to nie jest konieczne, otrzymywali pensje). Nie byłem przekonany o szczerości tej argumentacji. Tylko bowiem walka o nowy system powszechnego stypendium może dać rzeczywiste wyniki.

Kongres nie ludził się jakoby samą realizacją koncepcji pensji studenckiej demokratyzowała uczelnie. Traktował ją jako pierwszy krok. Poparł żądania ekonomiczne uczniów szkół średnich, które pozwoliłyby na zwiększenie dostępności szkół średnich dla robotniczej i chłopskiej młodzieży. Kongres wreszcie w swej większości przyjął bardzo nieprzejawnie wystąpienie Ministra Oświaty rzędu Faure'a-Bartolina, który w swym długim przemówieniu wymijająco ustosunkował się do postulatów studenckich.

Moim zdaniem wśród części delegatów na Kongresie istniała nadmierna wiara w to, że demokratyzacja uczelni osiągnąć można wyłącznie środkami ekonomicznymi. „Apolityczność” stanowisko NZSF osłabiła szanse powodzenia także tej ekonomicznej walki. Gdy w swym wystąpieniu na Kongresie mówiłem o tym, iż remilitaryzacja Niemiec pociągnie za sobą w tej czy innej mierze trudności na drodze polepszenia warunków życia francuskiej i polskich studentów — reakcyjna część delegatów głośno wyrażała swą dezaprobatę.

Dla nas jest jasne, iż rzeczywistą demokratyzację uczelni zagwarantować może w pełni tylko władza ludowa. Niemniej jednak trzeba żyć z francuskim studentem i NZSF pełnego powodzenia w realizacji uchwali w sprawach systemu stypendiów, uchwali w interesie francuskich studentów, w interesie kultury francuskiej, uchwali postępowych i demokratycznych. Jesteśmy przekonani, że w trakcie walki o realizację tych uchwali studentenci francuscy ujrzą ich polityczną treść.

PROBLEM RÓWNOUPRAWNIENIA?

Sprawy warunków studiów studentów z kolonii francuskich we Francji, jak również rozwoju oświaty i szkolnictwa wyższego w koloniach, zajmowały w obradach Kongresu poważne miejsce. Bezspornie postępowe znaczenie ma fakt, że jedynomyślnie zostały przez Kongres



Studenti Grenoble manifestują na rzecz polepszenia warunków studiów.

poparte ekonomiczne żądania studentów z krajów kolonialnych, jak również uchwalono szereg wniosków domagających się rozbudowy oświaty w koloniach, budowy domów akademickich itp. Uchwały te są odbiciem powszechnego niemal uznania przez francuskich studentów demokratycznych postulatów ekonomicznego i kulturalnego równouprawnienia narodów i ras. Idei starego kolonializmu nikt nie śmiał na Kongresie bronić.

Rasistowskie teorie nie znajdują żadnego oddźwięku wśród francuskich studentów. Studenci francuscy w swej masie szczerze żądają nie tylko formalnego równouprawnienia dia studentów z kolonii studiujących we Francji, ale i usunięcia takich np. faktycznych ograniczeń, jak odmawianie stypendiów i mieszkań w domach akademickich za działalność polityczną, jak uniemożliwienie niektórych specjalności technicznych itp. Na Kongresie wszyscy mówili o przyjaźni i braterstwie ze studentami kolonialnymi.

Lecz jedynomyślnie się skończyła, a przyjaźni i braterstwo okazało się (delikatnie mówiąc) rozmaicie rozumiane, gdy szło o polityczne żądania studentów kolonialnych. Tu Kongres się podzielił, w „apolitycznej” organizacji rozegrała się polityczna walka wokół wniosku o uznanie przez NZSF za równouprawniony Związek Generalny Studentów Tunisu, o poparcie tego poleganego związku, dotąd nieznanego przez francuskie władze. Komisja tzw. „terytoriów zamorskich” wniosek ten przyjęła i głosami przeciw 10 (na Komisji każde Generalne Stowarzyszenie Studentów miało jeden głos). Plenum Kongresu natomiast, gdzie każde stowarzyszenie rozporządza ilością głosów proporcjonalną do ilości członków, wniosek ten odrzuciło 152 głosami przeciw 110. Po odrzuceniu wniosku nastąpił moment w obradach, którego nigdy nie zapomnę, który wstrząsnął mną do głębi.

Zabrał głos student tunezyjski. Mówił, iż delegaci wyrażali szkodę, której nie naprawia i przypomniał, że przed 10 laty studenci Francji i Tunisu wspólnie walczyli z wrogiem, a teraz odraca się ich. Mówił z nabożem, że logika historii jest z narodem tunezyjskim i nikt nie jest w stanie jej nie uznać. W czasie jego przemówienia umilkły wystrzały z kordów i petardy, którymi francuscy studenci „rozmaizali” całe obrady. Gdy skończył — cała sala wstała i długo oklaskiwała mówcę. Pośpyły się wzruszające szczere przemówienia o braterstwie i przyjaźni.

W czasie Kongresu, przysłuchując się obradom komisji, dyskutując z delegatami mogłem się przekonać, że przeważająca większość studentów francuskich jest żywo zainteresowana w utrzymaniu szerokiego kontaktów naukowych, kulturalnych, sportowych z organizacjami studenckimi — członkami MZS. Świadczył o tym m. in. referat sprawozdawczy na Kongresie, w którym bardzo obszernie i szczegółowo omówiono wszystkie kontakty ze studentami ZSRR i krajów demokracji ludowej.

Lecz w wyniku uchwalono (formalnie motywując przynależnością „prawna” Tunisu do Unii Francuskiej) wniosek odmawiający uznania równouprawnienia Zw. Gener. Stud. Tunisu. Treść tego wniosku jest reakcyjna, choćby (a tak jest na pewno) wielu studentów francuskich szczerze wierzyło w równouprawnienie w ramach Unii Francuskiej. O tym czy studenci Tunisu chcą być reprezentowani w ramach tej unii czy nie — oni decydują, a uznanie ich prawa do tego przez studentów Francji jest kamieniem probierczym ich demokracji. Rzecz prosta, nasza solidarność była i jest ze studentami Tunisu i z tą częścią studentów francuskich, którzy głosowali za wnioskiem o uznanie ich politycznej równości; z tą częścią, która — nie wątpliwie — będzie rosła i zwycięży.

CZY KONTAKTY POZA MZS?

Poważne różnice i ostre dyskusje miały miejsce na Kongresie w sprawach międzynarodowych organizacji studenckich, a w szczególności w sprawie stosunku do Międzynarodowego Związku Studentów.

Poprzedni Kongres NZSF postanowił nie utrzymywać żadnych kontaktów z MZS, nie brać udziału w jego działalności. Jednocześnie kierownictwo NZSF nawiązało pewną ilość bezpośrednich kontaktów z organizacjami studenckimi — członkami MZS. W wyniku tych kontaktów gościła w ubiegłym roku delegacja NZSF także i w Polsce, na zaproszenie ZSP. Jednakże kierownictwo NZSF wysunęło zarazem tezę, iż takie dwustronne kontakty świadczyły, że MZS nie jest w ogóle potrzebny francuskim studentom.

W praktyce kierownictwo NZSF nie uniknęło zresztą pewnych kontaktów z MZS: w dziedzinie organizacji międzynarodowego studenckiego turnieju szachowego, poprzez udział w otwarciu sanatorium MZS w Chinach; wyszło wreszcie z ceną inicjatywą przywrócenia jednolitego międzynarodowego studenckiego ruchu sportowego. Kierownictwo NZSF poddawało krytyce działalność polityczną tzw. COSEC-u — organizacji stworzonej jako przeciwwaga MZS i wystąpiło z koncepcją zorganizowania u boku UNE-SCO nowego międzynarodowych kontaktów studentów. Jednym słowem próbowało zająć pozycję „trzeciej siły” w międzynarodowych sprawach studentów.

W czasie Kongresu, przysłuchując się obradom komisji, dyskutując z delegatami mogłem się przekonać, że przeważająca większość studentów francuskich jest żywo zainteresowana w utrzymaniu szerokiego kontaktów naukowych, kulturalnych, sportowych z organizacjami studenckimi — członkami MZS. Świadczył o tym m. in. referat sprawozdawczy na Kongresie, w którym bardzo obszernie i szczegółowo omówiono wszystkie kontakty ze studentami ZSRR i krajów demokracji ludowej.

(Dokończenie na str. 5)

Z ostatniej chwili

REDAKTOR ELIGIUSZ LASOTA
TELEFONUJE Z LYONU:

Akademickie Mistrzostwa Szachowe rozpoczęły się pod znakiem sukcesów polskiej drużyny — w poniedziałek wygraliśmy z Francją 4:0. Niestety, dzień następny był czarnym dniem dla naszych studentów: przegraliśmy z tegorocznym faworytem turnieju — Związkiem Radzieckim — 0:4, a z Czechosłowacją, (która broni tytułu Akademickiego Mistrza Świata) 1:3.

Następne dni przyniosły już nam zwycięstwo z Finlandią 3:1 i z Norwegią 2,5:1,5. Nasza drużyna w składzie: Witkowski, Brzóska, Szymański i Arłamowski „rozgrywa się” i kandyduje na jedno z pierwszych miejsc wśród 13 państw (Polska, Benelux, ZSRR, Belgia, Finlandia, Czechosłowacja, Hiszpania, Francja, Węgry, Jugosławia, Norwegia, Szwecja i Islandia), które przysłały swe akademickie reprezentacje.

Turniej jest bardzo ciężki, gdyż ze względu na dwudniowe opóźnienie przyjazdu naszych zawodników muszą oni rozgrywać minimum po dwa spotkania dziennie. Dlatego też dotychczas Lyon znamy jedynie z pocztówki, które wysłamy do kraju. Mimo przemęczania nastrojów wśród całej ekipy doskonały. W imieniu wszystkich uczestników turnieju przesyłam serdeczne pozdrowienia czytelnikom PROSTU.

ELIGIUSZ LASOTA

Gdybyście, drodzy przyjaciele, znaleźli się nagle w jednej z sal wykładowych Akademii Medycznej w Hamhynie i wraz z koreańskimi studentami wysłuchali kilku kolejnych wykładów, doznalibyście niewątpliwie wrażenia niecodziennego. Przypuśćmy, że pierwszy z nich byłby wykładem urologii, drugi — dermatologii, trzeci — rentgenologii, a czwarty — okulistyki: usłyszeliścieby wówczas pierwszy wykład w języku niemieckim, drugi w rosyjskim, trzeci — angielskim, a czwarty — w polskim. Akademia Medyczna w Hamhynie jest jedyną chyba uczelnią na świecie, w której wykłady odbywają się w tylu językach.

Uczelnia ta bowiem, a w szczególności kierownictwo jej katedr klinicznych objęte zostało przez obecną (trzecią z rzędu) ekipę szpitala Polskiego Czerwonego Krzyża w Korei. Z takim właśnie zadaniem, odmiennym od zadań poprzednich dwu ekip, wyjechaliśmy w sierpniu 1954 r. z Warszawy. Zadania pierwszej ekipy związane były ściśle z potrzebami czasu wojennego. Druga ekipa miała — wobec ogromnego braku fachowych sił medycznych w Korei — przede wszystkim udzielać bezpośredniej pomocy chorym. Zaś głównym celem trzeciej ekipy jest — poza normalną pracą usługową — pomoc w zorganizowaniu i prowadzeniu pracy dydaktycznej i naukowej. Pod tym też kątem został dobrany zespół, w ogromnej większości składający się z pracowników naukowych o wieloletnim doświadczeniu dydaktycznym.

Wykłady odbywają się w tym języku, którym wykładowca włada wystarczająco biegle; każdy wykład jest naturalnie natychmiast tłumaczony na język koreański przez jednego z lekarzy koreańskich, lub też jednego ze specjalnie przydzielonych nam tłumaczy. Najchętniej wyklada się oczywiście w języku rosyjskim (np. dermatologia, neurologia, pediatria, ortopedia) — nie

tylko dlatego, że stosunkowo duża ilość wykładowców zna język rosyjski i że paru studentów zupełnie biegle włada tym językiem.

Prawie wszyscy rozumieją trochę po rosyjsku, jeżeli mówi się wolno, prostymi, nieskomplikowanymi zdaniami, nie mającymi nic wspólnego z tokiem wykładu. Dlatego w takim razie studenci wolą słuchać wykładu w języku rosyjskim jeżeli i tak niezbędny jest tłumacz.

Dr Ri Czol Jong, to młody lekarz, który przed moim przyjazdem do Hamhynu prowadził tu ambulatorium dermatologiczne. W 1950 r. wybuch wojny przerwał mu studia. Poszedł na front, był kilkakrotnie ranny, dyplom otrzymał w sierpniu 1953 r. Po moim przyjeździe w ciągu paru godzin urządził sobie ambulatorium w nowym baraku naszego szpitala. Kiedy już zakończyliśmy prace organizacyjne, zapytałem go jakie ma propozycje co do naszej współpracy? Oto, co mi odpowiedział swym wzruszającym nieporadnym jeszcze językiem rosyjskim: „Ja jeszcze mały jestem na medycynskim putu”. Dalej powiedział, że chciałby się od nas nauczyć trzech rzeczy: po pierwsze — właściwego stosunku do chorego człowieka, po drugie — języka rosyjskiego i po trzecie — dermatologii.

Byłem wzruszony, ale i trochę zaskoczony. Nigdy nie uczyłem jeszcze nikogo języka rosyjskiego.

A parę dni później, na pierwszym wykładzie, zrozumiałem, że tego samego oczekuje ode mnie 240 stu-

Dr JERZY POGORZELSKI

Moi słuchacze w Hamhynie

(Korespondencja własna z Korei)

dentów III kursu AM w Hamhynie. 240 par oczu utkwionych było w moje usta, dopóki nie skończyłem rozpoczętego zdania, 240 zasłuchanych ludzi — wśród tak absolutnie ciszy, jakiej nawet wyobrazić sobie nie potrafią nasi warszawscy medycy — łowiło z napięciem każde wypowiedziane przeze mnie rosyjskie słowo, starając się zapamiętać każdą końcówkę, akcent, ba — intonację i melodię zdania. Przekonałem się o tym później na ćwiczeniach, kiedy w koreańskie zdanie wtrącano pojedyncze rosyjskie słowa, z dumą podkreślając, że to nowa zdobycz

— z wykładu dermatologii. Dopiero kiedy zabierał głos tłumacz, głowy nagle, szybkim ruchem pochylały się nad zeszytami, by po chwili, gdy znów padnie pierwsze rosyjskie słowo, zawisnąć wzrokiem na ustach wykładowcy.

Notatki z wykładów! O, drodzy moi przyjaciele — polscy studenci, których bądź co bądź tyle już lat znam — i od strony notatek także! Niestety, u was tylko nieliczne wyjątki posiadają tak wspaniałe notatki! Ich estetyczny graficznie i celowy układ, przejrzystość i logiczność, choć wykonywane w błyskawicznym tempie, uszeregowanie zagad-



Studenti wydziału medycyny na Uniwersytecie im. Kim Ir Sena podczas badań laboratoryjnych.

NIECH ŻYJE MŁODZIEŻ CAŁEGO ŚWIATA ZŁĄCZONA WALKĄ O POKÓJ!

O Jance - symbolu i pocieraniu termometru

(groteska poważna choć dyskusyjna)

Pilnie studiowałem studenckie rozmowy o szczęściu i wraz z innymi czytelnikami głowiłem się nad problemami:

- motocykl, mąż, pies i kanał — czy socjalistyczne budownictwo;
- szczęście jako piękny kwiat, który można wachać ale nie zrywać — czy praca, o której dobrze się wyrażają;
- czy lepiej szczęścia szukać w niebie — czy też trochę niżej, na słupach wysokiego napięcia.

Ponieważ wniesienie jeszcze jednej pozytywnej recepty wypchanej rekwiizytami szczęścia przerasta moje skromne możliwości intelektualne, pozwolę sobie skreślić tylko „kilka słów” na marginesie.

JANKA — ISTOTA WYKŁĘTA

W numerze 15 popeliłem artykuł zatytułowany „Odrzyski”. Nakreśliłem w nim sylwetkę Janki — studentki Łódzkiej Politechniki, która nie widzi przed sobą porywających perspektyw pełnego życia. W numerze 18 Tadeusz Jas-urczył nas reportażem (o studentach ofiarne pracujących przy elektryfikacji wsi) adresowanym do tejże Janki, w którym wytykając jej palcem, grzmiał: „Widzisz marna istoto, egoistko zatracona, czelcze bezwartościowy, oto co jest szczęściem! A ty podła chresz sobie ślad ciepłe gniazdko w żłuciu!” (oczywiście nie to cytuję).

Obie publikacje wywołały gorące oburzenie licznych znajomych, kolegów, przyjaciół i krewnych bohaterki. I słusznie. Bo Janka to istota najzupełniej pozytywna. Zdolna, pilna, koleżeńka, pracująca społecznie — i we wymieniu tylko częścią jej cnot. I w pełni gotowa do drapania się po słupach dla zakładania światła elektrycznego na wsi. Bojąc się, że koło ZMP dobierze się jej do skóry, lub też (co gorsza) koleżdy Janki złożą mi niezbyt przyjacielską wizytę — śpieszę wyjaśnić ten problem.

Janka będzie inżynierem. Praca jej prawdopodobnie będzie potrzebna i pożyteczna. Polubi ona swój zawód. Stanie się człowiekiem cenionym i szanowanym. I „czepianie się” jej byłoby naprawdę gangsterstwem piora, gdyby nie obawa... że właśnie tylko to. Ze jej pragnieniem zawsze będzie, by budowane przez nią elektryczne popagi biegały po ziemi, a nie by odbywały międzyplanetarne loty. Ze nie spróbuje ona głową wywalić żadnej dziury w murze. Ze nie zapragnie wdrapać się na wysoką

wieżę, żeby oglądać szerszy krąg horyzontu.

JANKA JAKO SYMBOL

Problem Janki — to problem „przeciętnego” człowieka, pozytywnego zjadacza chleba — jeden z ważniejszych problemów naszych czasów. Tak to Janka — przypadkowa bohaterka trzeciej z kolei publikacji — mimo woli urosła do rangi filozoficzno-społecznego symbolu. Trudno, niechaj służy jako symbol. Niektórzy ludzie „odpowiedzialni” za wychowanie młodzieży uważają, że wychowanie w ciągu dziesięciolecia setek tysięcy takich Janek — to poważny sukces organizacji, szkoły, uczelni, propagandy. I trudno im odmówić słuszności. Owe setki tysięcy afirmują marksistowską ideologię (głębiej lub płycej rozumianą), uznają panujący ustroj za bardzo dobry i pracując na tym czy innym odcinku życia kraju, oczywiście budują socjalizm. Sukces wychowawczy jest więc niewątpliwy.

Czy nasiąknięcie na wzór gąbki szeregiem minimalnych wartości dla naszej koncepcji człowieka — stwarza maksymalistyczny skok jakościowy? To znaczy, czy nagromadzeniu szeregu podstawowych cnot tak zwanego porządnego i pożytecznego obywatela kraju budującego socjalizm (takich jak uczciwość, pilność w pracy itd.) przeraża się w jakąś pełną najwyższych wartości jednostkę ludzką? Nie koniecznie i nie często.

Kraj nasz zaludniają setki tysięcy młodych ludzi, którzy do socjalizmu, jego hasła i całej nadbudowy przywykli jak do codziennych zjawisk przyrody. I w ramach tego socjalizmu tworzą sobie własne życie złożone z pożytecznej pracy, mieszkania, psa czy motocykla, książki i filmu, stoika brzoźowego czy kawiarni. Produkują oni i konsumują — nikt się do nich nie przyczepia. Bo i o co? Minimalne warunki naszej koncepcji życia, ludzkiej postawy, moralności et cetera — spełniają.

A jednak cała ich postawa życiowa urasta do jednego z ważnych problemów młodego pokolenia.

Dochodzimy do wzoru:

Janka (jako symbol) = 1 praca + 1/2 marksizmu + 1/2 socjalizmu + 1 mieszkanie + 1 pies + jeszcze ze dwadzieścia składników.

Oto jak poprzec specyficzną matematykę przebiega groteska.

OD ABSTRAKCYJ — NA ZIEMIĘ

W jednym z łódzkich Zarządów Dzielnicowych ZMP w r. 1948 ist-

niał zwyczaj, że wieczorami zbierała się w lokalu ZD grupa aktywistów na towarzyską pogawędkę. Rej wodził przewodniczący, niegdys klasyczny lumpenproletariusz, w owym czasie działacz przypominający nieco Szolochowskiego Nagulnowa, zapalony, krzykliwy, mówiący sloganami. Rozmowy dotyczyły głównie dwóch tematów: przeszłości i przyszłości. Przeszłość — lata 1945 — 1947 były to jakieś fantastyczne opowieści niby z dzikiego zachodu. O walkach z bandami, napadach na lokal ZWM, heroicznych wyczynach, magicznych sukcesach propagandowych itp. Oczywiście wszystko przesadzone, ale tchnące jakimś niezwykłym romantyzmem.

Potem następowały dyskusje o przyszłości, nie mniej fantastyczne. W tych obrazach komunizmu domy wisiały w powietrzu, wino ciekło z kranów, ludzie jeździli na wrotkach z wmontowanym motorkiem rozwijającą szybkość 100 km na godzinę. Łódź leżała nad morzem a Gdańsk od czasu do czasu przenosił się w okolice Zakopanego, żeby było większe urozmaicenie.

W latach późniejszych setki razy bywałem w lokalach dziesiątków zetempowskich zarządów. Spotykałem tam tylko bardziej od „Nagulnowa” wykształconych, mocno zapracowanych urzędników. Znam wielu studentów. Jedni chcą pracować jako lekarze, inni jako prokuratorzy, jeszcze inni budować domy. Nie trafiło mi się jednak spotkać takiego przyszłego budowniświego, który by mówił np., że wszystko co się buduje jest do łutu, że on chce budować (i żeby go mieli na śmierć zagryźć — będzie budował), zupełnie inaczej, jakies domy do góry nogami z nylonu wytapetowanego energią atomową.

WYTKAMY JANCE TERMOMETR

Ostatnio jeden z moich kolegów (specjalność — o dziwo — filozofia marksistowska) powiedział mi, że skłonił woli wojującego klerykała, od biernego marksisty wykazującego niską temperaturę ideową. Bo wiem taki współczesny Loyola łatwiej da się „przerobić” na po-

miennego rewolucjonistę niż marksistowski letniak.

Wtykam Jance pod pachę termometr. Wykazuje on normalną temperaturę. Niedawno młody plastyk — Jerzy Cwiertnia — napisał w „Przeglądzie Kulturalnym” plemienny artykuł, w którym wyłożył swoją koncepcję sztuki. Gdybyśmy zmierzili mu gorączkę, termometr wykazałby co najmniej 39 z kreskami. Świat pcha ją naprzód ludzie z podwyższoną temperaturą. Ci, którzy mają normalną gorączkę — jako się rzekło — tylko produkują i konsumują.

Istnieje miłość wielka i mała: miłość Romea i miłość jakiegoś bohatera współczesnego produkcyjniaka. Istnieje też chyba szczęście wielkie i małe. Małe wytworzyć może praca, robienie gazetki ścienniej, domek, pies, i motocykl.

Ale pełnia ludzkiego szczęścia leży chyba w podwyższonej temperaturze. Odwrotnie niż w medycynie — tu nie jest ona oznaką choroby. Pocieranie termometru nie pomoże. Jak osiągnąć wysoką gorączkę? Chciałbym to wiedzieć i na swój osobisty użytek.

JERZY URBAN

Czy wyrzucić z UMK?

czyli przysibiejewski konflikt we współczesnym aspekcie

Znacie tę historię? Znacząco... No to posłuchajcie. „Kapralu Przysibiejew! Jest pan oskarżony o to, że dnia 3 września zniewał pan słowem i czynem rewolucyjnego Zygina, wójta Alapowa, strażnika Jęfimowa...” Tymi słowami rozpoczyna Czechow swe opowiadanie zatytułowane: „Kapral Przysibiejew”.

Przed sędzią pokoju toczy się rozprawa. Ludność wsi zeznaje, że z byłym kapralem Przysibiejewem nie można wytrzymać. Gdy ludzie idą w procesji, albo jest wesele czy zdarzy się jakiś wypadek — kapral krzyczy, rozgania ludzi, wyraża. Notuje on, kto siedzi wieczorami przy świetle, albo u kogo śpiewa się pieśni. Przysibiejew wyłuszcza sądowi swoje racje: „Czy to w ustawach napisane, żeby ludzie tabunami chodzili?” On musiał ludzi rozganiać, pouczać, notować kto co robi, bo jest człowiekiem świadomym swych powinności, znającym przepisy. On nie dopuszczał do nieporządków i bronil władzy, a jeśli kogo uderzył — toż to i jego powinność.

Przysibiejew nie rozumie dlaczego sędzia — przedstawiciel tej władzy, której on bronil, jest jego przeciwnikiem.

Na koniec czytamy: „Niezrozumiały jest także dla niego wyrok: miesiąc aresztu!”

— Za co? — mówi rozkładając ze zdziwieniem ręce. — Jakim prawem?

I jedno jest dla niego jasne — że świat się zmienił i że żyć na takim świecie niepodobna. Chodzą mu po głowie mroczne, posępne myśli. Ale wychodząc z izby i widząc chłopów, którzy stoją zbiegi w gromadzie i o czymś rozmawiają, kapral starym zwyczajem, którego już nie może przeczucić, staje na baczność i krzyczy ochrypłym, gniewnym głosem: Ludzie rrrrozejście się! Co za zbiegowisko! Rrrrozejście się do domów!”

W subiektywnym odczuciu kaprala — gorliwie pomaga on władzy, działa na rzecz utrwalaenia reżimu. Obiektywnie — stanowi jego karykaturę — a więc jest dla caratu szkodliwy. Bohater Czechowa przeżywa tragedię, nie rozumiejąc, jak ta sama władza, której w swym przeświadczeniu był podporą — skazuje go na areszt, potępia jego czyny.

Występuje tu konflikt pomiędzy subiektywnym poczuciem słuszności, a jego obiektywną, wręcz odwrotną w rezultatach wymową.

KOSTUS — BOHATER W PEWNYM SENSIE NEGATYWNY

Na wstępie historii Kostusia — studenta toruńskiego UMK — z całą mocą podkreślamy: nie ma żadnej analogii między czehowskim Przysibiejewem, a współczesnym nam Kostusem. Przysibiejew nie jest ideowcem caratu lecz bezmyślną ludzką maszyną wytworzoną przez wojskowy dyktando, zacofany, totalitarny reżim. Motorem jego działania jest przyzwyczajenie, wynik tresury.

Kostus jest szermierzem służnych i porywających idei, którym służyć pragnie z całą mocą. Tylko jeszcze tego nie potrafi. Istnieje jedynie penna analogia problemu, która to właśnie spowodowała, że pierwszą część niniejszej historii poświęciliśmy streszczeniu opowiadania Czechowa. Ale o tym później.

Czas już zostawić w spokoju carskiego ekskaprala i zaprezentować czytelnikom sprawę naszego bohatera — Kostusia, studenta IV roku

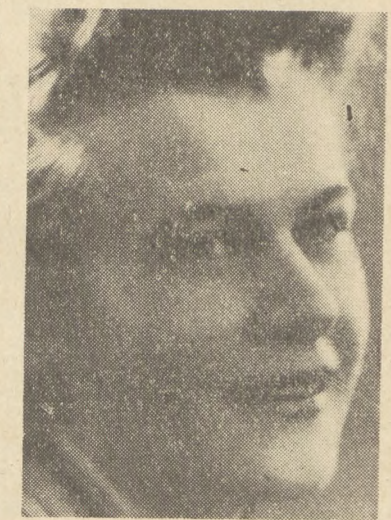
Dziś 11 zdjęć w konkursie na najładniejszy uśmiech studentki

Zachowaj ten numer, bowiem po opublikowaniu nadesłanych zdjęć w czerwcu br. PROSTU przeprowadzi wśród wszystkich czytelników specjalny plebiscyt i wtedy odpowiesz, który uśmiech najbardziej Ci się podobał (udział w plebiscycie będzie również szansą do zdobycia nagrody).

Przypominamy: zdjęcia uśmiechniętych studentek nadsyłają same studentki oraz ich najbliżsi — w kwietniu i maju br. Koleżankom, które czytelnicy uznają za najładniej uśmiechające się — zostaną przyznane liczne i cenne nagrody; wykaz ich oglosimy w 15 numerze. Nazwiska opublikujemy tylko za zgodą laureatek.



Zdzienie konkursowe nr. 35



Zdzienie konkursowe nr. 34



Zdzienie konkursowe nr. 36

domcom widniały jakies drobne sprawy niedania mu pedzla czy farb.

KOSTUS — POSTAC W PEWNYM SENSIE POZYTYWNA

Opowiedzieliśmy w skrócie i uproszczeniu zawiłą i skomplikowaną sprawę Kostusia. Dla pełnej charakterystyki jego postaci dodać trzeba, że doskonale się uczył i był zawsze określany jako wzór studenta.

Kostus jest człowiekiem, który nie rozumie taktyki partii, nie potrafi się podporządkować jej dyscyplinie, politykę PZPR pojmując nadzwyczaj płytko, działa pod wpływem nieprzemyślanych impulsów, kieruje się całą furą frazesów, które przyswoił sobie nie rozumiejąc głębszego sensu spraw. W świetle tego zupełnie zrozumiała jest decyzja skreślenia go z listy kandydatów PZPR — jako człowieka, który nie dorósł do partii.

Ale czy słuszne było usunięcie go z Uniwersytetu, nota bene na dwa miesiące przed uzyskaniem przezeń dyplomu ukończenia studiów? Formalnie były to pełne powody. Ale właśnie tylko formalnie.

Działalność Kostusia obiektywnie była bez wątpienia szkodliwa. Przeszkadzał on partii, zaogniał sytuację na wydziale, działał sam przeciw wszystkim, na koniec dopuścił się karygodnych wykroczeń przeciwko dyscyplinie studenta i ludzkiej przyzwoitości — ubliżając bądź co bądź swemu wykładowcy.

Taka jest obiektywna wymowa działalności bohatera niniejszej historii.

Ale Kostus działał w dobrej wierze. Szczegryście pragnął naprawić sytuację, gorąco o to walczył nie zważając, że może mu to zaszkodzić. Swoim często abstrakcyjnym ideaom sprawiedliwości i politycznej słuszności oddał się bez reszty, namiętnie, ślepo przekonany o ich słuszności. Wysuwał wreszcie wiele istotnych zarzutów, które z drugiej strony nie znajdowały właściwego posłuchu u władz partyjnych, zetempowskich i uczelnianych.

I dziś Kostus zapytuje: za co?

Czyż człowiek o żarliwej ideowości nie jest cennym materiałem ludzkim, wymagającym jedynie właściwego pokierowania nim, wyjaśnienia mu wielu spraw, uczynienia zeń człowieka partii, idącego nie tylko za impulsem ale i za rozumem? Czyż należy przekreślać go bez reszty, wyrzucając z uczelni? Czyż można pozwolić, by powodził on w świat rozczulony, zlamany, nie nie rozumiejący, bez wiary w ludzi, partię i sprawiedliwość?

Dobrymi chęciami, które w obiektywnym oddziaływaniu dają szkodliwe rezultaty — podobno wybrukowane jest piekło. Ale subiektywnie dobre chęci należą brać pod uwagę ocenając człowieka. Tak nakazuje nasza moralność i nasza sprawiedliwość.

Konflikt Kostusia pomiędzy jego odczuciem słuszności w jego mniemaniu świętej i słusznej walki — a jej obiektywnymi rezultatami — to głęboko ludzki konflikt. Konflikt, który nie jest charakterystyczny tylko dla Kostusia, ale często w życiu spotykany. Takie konflikty nie powinny nam być obce.

Poszytywny wniosek jest następujący: umożliwić Kostusowi ukończenie uczelni, karząc go jednocześnie za wybrki i pracować nad nim z całą siłą, bo kto wie, czy nie bardziej to warto niż pracować nad dziesięcioma grzesznymi, układnymi ludźmi, którzy niczego zmienić na świecie nie chcą i o nic nie walczą.

Kostus to nie jest współczesny kapral Przysibiejew!

NAB.

Realne jest tylko zadowolenie

Do wszystkiego lubię podchodzić systematycznie, z planem i ładem, toteż i poszukiwanie szczęścia zaczynam od prób definicji. Nie znajduję w tłumie Zosi Wnuk jeśli nie wiem jak ona wygląda i nie zdobędę szczęścia nie wiedzając czym ono jest... I tu zaczyna się kłopot.

„Życie szczęśliwe musi być spokojne; tylko w atmosferze spokoju rozkwitnąć może trwała radość”.

„Własne szczęście to produkt uboczny dążenia do uszczęśliwienia innych”.

„Szczęśliwi to ci, którzy coś tworzą; znużeni to ci, którzy wiele konsumują, a niczego nie dają”.

„Szczęście nigdy nie jest szczęściem, a cierpienie zawsze jest cierpieniem”.

„Kto zadowala się małym jest szczęśliwszy niż ten, kto umie zdobywać wielkie”.

„Zgodnie z prawem Liebga wielkość planu zależy od składowa, którego w glebie jest najmniej. Prawo Liebga odnosi się także do naszego szczęścia”.

„Najszczęśliwszym jest człowiek, który znalazł w sobie to, co jest w nim najwartościowsze, najszczęśliwszym ten, który wie, że tego nie znalazł”.

Właściwie każdy z tych aforyzmów wymaga komentarza. Szczęście uchwycone w jednym zdaniu jest jeszcze bardziej absurdalne niż słone w kremie.

Uwaga skupia się zwykle na tym, co złe. Bardzo to głucho z jej strony, ale to fakt. Powiedz mi o czym marzysz, a powiem czego Ci brak. Wiedząc, czego Ci brak — odpadnię w czym widzisz szczęście.

Gdy mam próchnięć w jednym zębie nie czuję radości z trzydziestu jeden zdrowych, lecz tylko ból chorego. Kiedy wreszcie znajdę zadowalającą pracę, zacznę się martwić domowymi troskami... I tak w nieskończoność. Dlatego nie wierzę w jakieś trwałe szczęście. Szczęście to tylko krótka chwila, gdy przechodzi ból zęba i... jakże często nawet jej nie zauważamy.

tylko jego mająk widziany oczyma człowieka cierpiącego na łe samopoczucie?

I oto znów stoję zakłopotany szukając światła w swojej ciemnej głowie. Czuję jak mnie toczą czerwie sceptycyzmu i żrą jady subiektywizmu. Sytuację ratuje tylko to, że gdy samopoczucie się poprawia, to i światopogląd radykalnie mi się zmienia. Na przykład, jako gruczołowo wyjąłowany pesymista uważam, że wszyscy ludzie są równie jak ja obrydlivi i nie cierpię ich za to, natomiast jako radością życia ogarnięty gupek oceniam wszystkich jako miłych i genialnych i... Kocham ich za to.

Powyżej przedstawiony impas pojęcia „szczęścia”, impas, który prowadzi do uwiąznięcia w dynamicznej, do psychicznej impotencji i różnych form umysłowego rozkładu jest w pewnym stopniu kwestią — nomenklatury. Nie wierzę w szczęście i nie ufam tym, którzy łatwo tym słowem żonglują, bo „szczęście” jest zbyt wielkim słowem. Nie wierzę nawet przyjacieli, którzy mi powiada, że byłbym szczęśliwy, gdybym przestał pisać i zabrał się do przyzwoitej pracy. Nie wierzę nawet „głosowi serca”, który obiecuje mi szczęście z pewną ciemną czarodziejką. Nie wierzę...

...chyba, że odbierzemy słowo „szczęście” potoczne jego znaczenie, że przedstawimy rozumieć pod nim życie na szczytach porywów, cudownego stanu niezmiernej błogości lub kapitału, który przyniesie osutki, chyba, że zastąpimy je skromniejszym pojęciem „zadowolenia” i „przyjemności”.

W szlachetnym uniesieniu przyswajamy sobie jakąś myśl, tworzymy hasło, obieramy formułę, która przetrwa chwile twórczego wzruszenia prowadząc nas i

może nawet ogrzewając w nieuniknionych okresach znużenia i chłodu. Trzymanie się tej zasady czy idei nie będzie źródłem aż szczęścia, ale może przysporzyć zadowolenia.

Zadowolenie jest realne. Jest to niezbyt wielkie, ale wyraźnie przyjemne uczucie, które towarzyszy na przykład myśli, że oto właściwie powinienem być szczęśliwy. Gdy wykonam swój dzienne plan zajęć, gdy spełnię co do mnie należy, gdy zrobię, czego się po mnie spodziewano, lub — lepiej — zrobię więcej niż się spodziewano, wtedy jestem zadowolony. Praca i rozumienie jej pożyteczności jest najczęstszym źródłem zadowolenia. Jest ono stanem dość trwałym, po którym nie następuje żaden kociokwik.

Mówiono mi kiedyś, że niezadowolenie z siebie jest głównym motorem postępu. Diabła tam! Gdyby naprawdę tak było, stałbym już przed wami jako najdoskonalszy na świecie drapieżnik. Prawdą jest natomiast, że jednym z najobfitszych źródeł zadowolenia jest poczucie własnego rozwoju. Nawet to, że dziś piśalem na maszynie trochę szybciej niż zwykle, nawet to, że przed chwilą udało mi się opanować gniew w sytuacji, która onegdy wyprowadziła mnie z równowagi, może być i jest źródłem zadowolenia.

Drugim słowem, którym wypieram zbyt maksymalnie brzmiące „szczęście” — jest „przyjemność”. Na pewno, gdybym uzgodził swe poglądy z ciemną czarodziejką, miałbym przyjemność. Przyjemność sprawiłoby mi posiadanie paszportu do Filharmonii, opanowanie kristianii i znalezienie pewnego środka przeciw lęskom. Zresztą, nie sięgając aż tak wysoko, z dumą przyznaję, że przyjemność sprawia mi byle co. Pod tym względem opanowałem sztukę życia: umiem cieszyć się piekarni kaszlanów i nie rozpaczam nad zbytym talerzem.

STANISŁAW GARCZYŃSKI

Chcę być wolny

Człowiek złożony niemocą sądzi, że szczęście to zdrowie; ideałem głodnego jest sytość; zakochany wierzy w raj miłości; ambulatory autor marzy nocami o stawie, a dla tego, kogo bija, szczęciem pragnień jest móc się zastanów i oddać z nawiązką.

Czy człowiek przeżarty takim mędrkowaniem może być przynajmniej pogodny? Może. Mędrkowanie ma niewielki wpływ na świetne samopoczucie, a „szczęście” to właśnie wewnętrzna, z organizmu płynąca radość życia.

— Czy to już poważna koncepcja szczęścia? — zapyta uważny czytelnik — czy

Artykuł „Katolicka, a nasza koncepcja” w cyklu wypowiedzi o szczęściu ma dla mnie jakąś ponętną siłę przyciągania. Przeczytałem go kilka razy i nie mogę opędzić się od myśli na ten temat. Koleżanka Niemirow pisze, że ludzie doby nowożytny rozmyślali, czy lepiej wierzyć w to szczęście w niebie, czy w to na ziemi. Nie tylko tamci ludzie, bo ja jestem taki sam. Artykuł wy-

żej wspomniany usiłuje wyjaśnić, że tylko szczęście na ziemi ma sens — z tej prostej przyczyny, że poza grobem nie ma nic. Ale skąd to koleżanka Niemirow wie? Jeśli mi ugodzi, że mówi prawdę, będę jej ciałe życie wdzięczny. Bo ja także chciałbym się pozbyć strachu przed piekłem i w ogóle być wolny.

STANISŁAW KOWALSKI
Koszalin

Eliminacje na cenzurowanym

Tegoroczne przygotowania studenckich zespołów artystycznych do eliminacji miały nieco inny, odmienny niż w latach ubiegłych charakter. Zbliżający się Festiwal Młodzieży i Studentów i wiążąca się z nim perspektywa występów przed międzynarodową widownią zakreśliły przed zespołami wyraźny cel: jak najpiękniejsze i jak najpełniejsze ukazanie polskiego folkloru, ludowych pieśni, tańców i obrzędów. Od inwencji zespołów w doborze programów, w zbieraniu nowych, nieznanych materiałów folklorystycznych, od poziomu ich artystycznego opracowania zależeć będzie w dużej mierze opinia i wiedza zagranicznych gości o naszym kraju, jego tradycjach i kulturze.

Ta służna koncepcja kryła w sobie jednak poważne niebezpieczeństwo. Wiele zespołów, zwłaszcza tych słabszych, mogło pójść po najmniejszej linii oporu i ograniczyć się do przygotowania najbardziej znanych i popularnych tańców czy pieśni. Groziło to w konsekwencjiubożeniem obrazu naszego kulturalnego dorobku. Eliminacje centralne, które odbyły się w Łodzi w ubiegłą niedzielę, potwierdziły te obawy,

NIWIELE NOWEGO

W porównaniu z eliminacjami w ubiegłych latach tegoroczny program zespołów tanecznych nie przyniósł nic nowego. Obracano się w zakłętym kręgu „wizanki tańców polskich” nazywanej również dla urozmaicenia „suitą tańców polskich”. Zobaczyliśmy też kilka tańców regionalnych, jak: warmiński „Kosejder”, śląski taniec „Kaczok i soltyśka” oraz suitę kaszubską.

Całość występów zespołów tanecznych nie zaskakiwała ani zbyt ciekawym repertuarem, ani nowymi, pomysłowymi układami choreograficznymi. Nie dziwnego, że tak dużym powodzeniem cieszył się taniec turkmeński w wykonaniu zespołu Uniwersytetu Poznańskiego. Wnosił on przynajmniej coś nowego, bardziej oryginalnego.

Poziom występów zespołów tanecznych był na ogół wyrównany. Młodzieńczy temperament wykonawców pokrywał w większości wypadków słabą technikę. Tu i ówdzie zdarzały się co prawda rażące niedopracowania, ale były to na szczęście nieliczne wyjątki.

Znacznie lepiej zaprezentowały się podczas eliminacji zespoły chóralsne. W ich repertuarze obok piosenek ludowych znalazły się utwory kompozytorów tej miary co Moniuszko, Nowowiejski czy Borodin. Stare pieśni przepatrywały się wespółczesnymi. Obok fragmentów z opery „Bunt żaków” — Szeligowskiego usłyszeliśmy „Ukochany kraj” Sygietyńskiego, śląskie pieśni Klucznika, utwory Krenza, Serockiego, Prosnaka i innych. W sumie dały one stosunkowo bogaty przegląd naszych pieśni, zarówno dawnych, jak i współczesnych.

Podniósł się również poziom wykonania. Bezkonkurencyjny do tego czasu chór Akademii Medycznej z



Tańce lubelskie pokazał na eliminacjach zespół Politechniki Śląskiej w Gliwicach.

Gdańska podzielił się tym razem pierwszym miejscem z chórem Wyższej Szkoły Ekonomicznej z Poznania. Obydwa te chóry cechuje czystość i dynamika brzmienia oraz szeroka skala środków wyrazu, umiejętność przechodzenia od podwójnych forte do subiektywnych piano. Zaskakiwały one również harmonią głosów. Chór Akademii Medycznej z Gdańska wyróżnił się ponadto wyjątkowo trafną interpretacją wykonywanych utworów. Przykład: piosenka Tylewskiego „Westerplatte” do słów Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

ELIMINACYJNE WYDARZENIE

Nasze chłodne do tej pory rozważanie muszą na chwilę ustąpić miejsca prawie entuzjastycznej ocenie zespołów pieśni i tańca, a w szczególności zespołu Politechniki Krakowskiej, którym kieruje Marian Lida. Zespoły pieśni i tańca posiadające różnorodne środki artystyczne (muzyka, taniec, śpiew, występy solistów) mogą dać w jednym programie o wiele głębsze przeżycie artystyczne niż jakikolwiek inny zespół. Nie zawsze tak się dzieje, wszystko zależy od pomysłowości, inwencji i pracowitości członków zespołu. I tak np. wiele z biorących udział w eliminacjach ogromnych zespołów ograniczyło się tylko do oddzielnego zaprodukowania tańców i pieśni bez ambicji głębszego, jednolitego opracowania całości widowiska. Na ich tle Politechnika Krakowska (no i zespół Politechniki Warszawskiej) zajaśniała pełnym blaskiem.

Występ zespołu Politechniki Krakowskiej dał widzom nie tylko barwne obrazy regionalne z okolic Krakowa i z Podhala, ale również po-

trafił zbliżyć ich do tradycji kulturalnych tych dwóch regionów poprzez silne, emocjonalne oddziaływanie.

Koncepcja widowiskowa była prosta: po pełnych życia i werwy tańcach krakowskich i góralskich prze-

nasza ojczyzna, oto nasi ludzie; poznaliście niektóre z naszych pięknych tradycji; pokazaliśmy wam małą cząstkę bogatego folkloru; Kochamy naszą ziemię i jej stare zwyczaje, jesteśmy dumni z naszego kraju.



Chór Akademii Medycznej w Gdańsku, zdobywca I miejsca. Dyryguje prof. Tylewski.

płatanych obficie pieśniami i przyśpiewkami cały zespół kończył widowisko odśpiewaniem przepięknej, znanej nie tylko w Polsce pieśni Sygietyńskiego „Ukochany kraj”. Ten prosty w gruncie rzeczy pomysł wpłynął decydująco na sugestywność i wymowę całego widowiska, stał się niejako jego swoistym komentarzem.

Kiedy cały zespół w barwnych, krakowskich i góralskich strojach wraz z lajkonikiem i halabardnikami powtarzał słowa piosenki „Ukochany kraj, umiłowany kraj”—zdawał się on mówić jednocześnie: oto

Występ zespołu Politechniki Krakowskiej dał to, czego odczuwało się brak w większości występów: głębokie przeżycie i bardzo wyraźne, emocjonalne zaangażowanie się wykonawców w przedstawiane widowisko.

Podobne wrażenie na widzach zrobił również występ Zespołu Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej, który wystąpił z „Suitą kielecką, rzeszowską i korobuszką”. Warto zwrócić uwagę, że zespół ten odznacza się wyjątkowo wyrównanym poziomem artystycznym i ambitnymi zamierzeniami, które konsekwentnie

realizuje. Dwa lata temu wywoływał on zachwyty publiczności melodyjną i barwną „Suitą kurpiowską”. Do tegorocznych eliminacji zdołał przygotować bardzo starannie nowe, nie mniej urzekające widowisko taneczno-muzyczne. Miejmy nadzieję, że nie będzie to jego ostatni program i może doczekamy się... suitę warszawskiej.

Z bardziej ambitnych zespołów pieśni i tańca warto wymienić jeszcze zespół Akademii Medycznej w Lublinie, który przygotował obrazek z wiejskich swatów czyli „Dziwiosłębę na Lubelszczyźnie” oraz zespół WSE z Poznania, który wystąpił z dowcipnym obrazkiem z regionu wielkopolskiego — „Złoty kominarz”.

MAŁE ZESPOŁY I MAŁE AMBICJE

Jeżeli powiemy, że cała uwaga widowni skierowana była wyłącznie na duże zespoły pieśni i tańca, to nie będzie w tym przesady. Na tym odcinku bowiem walczone o generalne zwycięstwo uczelni. Tym samym soliści i małe zespoły wokalne znalazły się jakby na marginesie eliminacji. Na fakt ten złożyło się zresztą wiele innych przyczyn i to nie tylko natury emocjonalnej w czasie eliminacji. Szukać ich należy również w całorocznej pracy kulturalnej uczelni.

Przyzwyczajaliśmy się sądzić, że zasadniczą reprezentację uczelni stanowi chór, lub zespół taneczny. W tej sytuacji wokaliści stają się tylko dodatkiem, tym samym skazani są na mniejsze zainteresowanie i brak opieki. W efekcie występy wokalne i solowe, które oglądaliśmy na eliminacjach, odbiegały daleko od ogólnej koncepcji eliminacji i były wyłącznie indywidualnymi popisami i to najczęściej tylko poprawnymi. Pozostawieni sobie wokaliści nie odważyli się na śmielsze poszukiwania repertuarowe i nie wykroczyli poza utarte szablony. W tym stwierdzeniu kryje się pozorny paradoks, ponieważ na repertuar eliminacyjny solistów składały się często znane pieśni m. in. Moniuszki, Niewiadomskiego, Leoncavallo itp. Zadanie, jakie sobie tym samym postawiono często przerastało możliwości wykonawców — amatorów.

Osobny rozdział należałoby poświęcić reprezentowanej na eliminacjach piosence. Piosenkarze i małe zespoły wokalne, sekcje rytmiczne, kwartety i sekstety, niestety prześcigali się w banale; w melodiach dawno już ogranym i ośpiewanych. Sztańpa i banal repertuarowy spowodowały, że stały się one dysonansem w ogólnym tonie eliminacji. Od piosenkarstwa studenckiego mieliśmy prawo oczekiwać czegoś nowego i ciekawego.

Wypadałoby się zastanowić również, czy wobec dość żywiołowego rozwoju estrady studenckiej i odbywających się eliminacji studenckich zespołów satyrycznych, nie należałoby włączyć tam właśnie małe zespoły wokalne i solistów piosenkarzy.

Wniosek ten przekazujemy organizatorom IV Eliminacji Studenckich Zespołów Świeclicowych.

PATRZĄC Z BOKU

Zespoły przybywające na stację w Łodzi witał głos spikera, który przez punkt informacyjny kierował przybyłych do oczekujących samochodów. Wszystko zapowiadało, że organizacja eliminacji została „zapięta na ostatni guzik”. Jeżeli ktoś dał się uwieść tym pozorom, tym bardziej przykre było późniejsze rozczarowanie. Nie będziemy tutaj szczegółowo roztrząsać poszczególnych wypadków jaskrawej dezorganizacji, ponieważ nie poprawi to w żadnym wypadku przykrych wrażeń wywiezionych z Łodzi przez uczestników, jak również nie pomoże już organizatorom.

Czy można było inaczej? Niewątpliwie tak. Można było nie przeciągać sobotnich eliminacji do godz. 24.00, można było zakończyć posiedzenie jury co najmniej 3 godziny wcześniej i dać tym samym możliwość przygotowania się zespołom wyróżnionym na pokaz w sali Włókniarza, można było postawić kilka namiotów, które zastąpiłyby tam brak szatni... i tak można by wylizać bardzo długo. A więc tylko jeszcze jedno pytanie. Czy można było przewidzieć złą pogodę? Należało przewidzieć każdą ewentualność, tak postępuje zawsze dobry organizator. Nerwowość, dezorientacja, źle zapatrzone noclegi, puste samochody szukające po mieście zagubionych zespołów, spoceni tancerze wypadający z sali na zimny i porywisty wiatr, to rzucające się w oczy dowody „talentu” organizatorskiego RN ZSP. Nie ma jednak siły, której nie przełamałby zbiorowy entuzjazm młodocisty.

*

Wydać by się mogło, że tak krytyczna ocena tegorocznego festiwalu świadczy o znizeniu lotu i mniejszych ambicjach naszych zespołów. Ze tak nie jest świadczy najlepiej huragan braw towarzyszące poszczególnym występom. Nie mamy słabszych, jak przed rokiem zespołów, to tylko zwiększyły się i będą stale zwiększać się wymagania, jakie stawiamy naszemu ruchowi amatorskiemu. Mamy wszystkie warunki ku temu, aby je zrealizować.

Oglądając barwne korowody zespołów występujących we własnych pięknych strojach regionalnych, nie trudno przypomnieć sobie, jak jeszcze niedawno toczono całe batalie o komplet, w którym można by pokazać się na scenie.

Już niedługo zobaczymy zespoły wspaniale reprezentujące kulturę narodową prawie całego świata. Będziemy oklaskiwać zespoły Indii, Afryki, Indonezji, Wietnamu; warto wtedy uświadomić sobie w jakich warunkach tamte zespoły przygotowywały się do Festiwalu. Pamiętajmy, że oni będą patrzeć na nas, jako na przedstawicieli wolnego kraju o nieograniczonych możliwościach.

R. WIŚNIEWSKI
M. KUSA

Studencki program Festiwalu

W Komitecie Organizacyjnym V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów opracowuje się program tej wielkiej manifestacji pokoju i przyjaźni. Wśród delegatów zagranicznych, którzy przybędą do Warszawy z całego świata, będzie wielu studentów i młodych naukowców; będą oni mieli możliwość wymienienia poglądów i przedyskutowania nurtujących ich problemy. Chcemy, by V Festiwal przyczynił się do zacieśnienia współpracy i wzajemnego zrozumienia studentów różnych krajów, by wzmocniła się ich jedność i solidarność w dążeniu do wykorzystania zdobyczy nauki dla celów postępu i rozwoju ludzkości.

Tym celem służyć będą codzienne spotkania, rozmowy i dyskusje w ciągu 14 dni Festiwalu. Będą to na pewno rozmowy o bardzo różnorodnej tematyce, a ich uczestnicy reprezentują różne pozycje światopoglądowe. Ale na pewno wspólna będzie myśl, która łączy dziś narody całego świata: sprawa utrzymania pokoju, sprawa przeszkodzenia wszelkim próbom rozpętania nowej wojny.

Obok spotkań przypadkowych — w kinie, czy na obiedzie, wycieczce, czy na spacerze — dla których Festiwal stworzy tysiące okazji, Komitet Festiwalowy planuje zorganizowanie kilkunastu spotkań o ustalonej tematyce. Tak więc studenci

architektury zbiorą się na dyskusji o współczesnej architekturze i problemach budownictwa mieszkaniowego, dla studentów fizyki i chemii organizuje się dyskusję o perspektywach wykorzystania energii atomowej dla dobra ludzkości. Studenci prawa spotkają się dla przedyskutowania roli prawników w dziele utrzymania pokoju i bezpieczeństwa zbiorowego. Ekonomisci przedyskutują perspektywy międzynarodowej współpracy gospodarczej, historycy — walki narodów o wolność w okresie II wojny światowej, a pedagodzy — zagadnienia wychowania młodzieży w duchu przyjaźni między narodami. Studenci uczelni muzycznych zbiorą się w Żelazowej Woli, aby omówić twórczość Chopina i słuchać jego muzyki. Młodzi plastycy omówią swe metody pracy. Studenci szkół wychowania fizycznego przedyskutują osiągnięcia swych wyższych uczelni.

Ponadto w czasie V Festiwalu zorganizowane będą w Pałacu Kultury i Nauki dwa międzynarodowe seminaria: seminarium filologiczne dla omówienia tematu: „Tradycje humanizmu w dziełach klasyków” i ich wpływ na literaturę współczesną” oraz seminarium filmowe na temat: „Popularny bohater filmowy naszych czasów”.

W wielu krajach trwają już przygotowania na uniwersytetach i w instytutach do wyżej omawianych dyskusji. Przed studentami polskimi stoi poważne zadanie bardziej aktywnego włączenia się do pracy przygotowawczej, rozwinięcia szeroko-

kiego ruchu naukowego wokół tych tematów. Chodzi nam o zapewnienie szerokiego udziału w dyskusjach ze strony polskich studentów. Chcemy, aby to co powiemy studentom zagranicznym, było rezultatem kolektywnej, aktywnej pracy ogółu naszych studentów.

Dłatego w pracy przedfestiwalowej prowadzonej na uczelniach winniśmy organizować więcej odczytów naszych naukowców, inspirować dyskusje w grupach, na latach i wydziałach, zbierać materiały, studiować literaturę. Już obecnie w niektórych uczelniach dyskutuje się nad tymi problemami. Np. na SGSZ w Warszawie zorganizowano konferencję naukową na temat bezpieczeństwa zbiorowego. W Akademii Medycznej w Warszawie, w PWSP w Gdańsku i inn. organizuje się odczyty i pogadanki profesorów, którzy byli zagranicą.

Przewiduje się wiele ciekawych imprez studenckich, jak występy studenckich zespołów artystycznych, rozmaite imprezy sportowe, zabawy, manifestacje. M. in. na kilku uczelniach warszawskich zorganizowane będą wielkie bale kostiumowe, odbędzie się pochod kostiumowy studentów różnych krajów. Trzeba więc, aby i studenci polscy przygotowali ciekawe kostiumy i interesujący program tych imprez. Jest tu szerokie pole do popisu dla pomysłowości i inicjatywy każdego studenta.

Odbędzie się również spotkanie studentów wszystkich krajów z udziałem działaczy MZS poświęcone o-

mówieniu warunków nauki i życia, zagadnieniom międzynarodowej współpracy studentów, sprawom czelnicstwa prasy i innym nurtującym studentów problemom. Również i wołół tych spraw trzeba rozwinąć pracę przygotowawczą. Systematycznie zapoznawać się z życiem studentów zagranicą, wykorzystując wszelkie materiały (w prasie jest ich coraz więcej), organizując spotkania z działaczami młodzieżowymi będącymi w różnych krajach.

Tyle o najważniejszych sprawach studenckiego programu Festiwalu. Nie wyczerpujemy tu oczywiście wszystkiego, co dzieć się będzie w sierpniu w Warszawie. Doświadczenia poprzednich Festiwali pokazują, że poza planem i programem przebiega wiele ciekawych, samorzutnie organizowanych spotkań i imprez. Wynika to bowiem z samych założeń Festiwalu, z jego swobodnej i radosnej atmosfery, płynie to stąd, że młodzież z różnych krajów chce się spotykać, chce dyskutować, chce się wspólnie bawić.

Szczegółowe zadania stoją przed studentami uczelni warszawskich, miasta V Światowego Festiwalu. Czekają nas sporo pracy, aby wszystko jak najlepiej przygotować, a czasu niewiele. Spodziewamy się, że studenci warszawscy wezmą jeszcze bardziej aktywny udział w pracach przygotowawczych do imprez festiwalowych.

ADAM KRUCZKOWSKI
Instruktor Wydziału Studenckiego
Zarządu Głównego ZMP

Zespoły nagrodzone i wyróżnione w Centralnych Eliminacjach Studenckich Zespołów Świeclicowych W KATEGORII ZESPOŁÓW PIEŚNI I TAŃCA

- I. Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej
- II. Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Krakowskiej

WYRÓŻNIONE:

Zespół Pieśni i Tańca PWSP Warszawa
Zespół Pieśni i Tańca AM Lublin
Zespół Pieśni i Tańca SI Częstochowa

W KATEGORII CHÓRÓW

- I. Chór AM Gdańsk
- I. Chór WSE Poznań
- II. Chór WSE Kraków
- II. Chór Politechniki Śląskiej
- III. Chór PWSP Łódź
- III. Chór SI Szczecin

WYRÓŻNIONE:

chór UBB Wrocław
chór UMCS Lublin
chór SGGW Warszawa
chór Politechniki Łódzkiej

W KATEGORII ZESPOŁÓW TANECZNYCH

- Pierwszego miejsca nie przyznano.
- II. Zespół Taneczny Politechniki Śląskiej
- II. Zespół Taneczny WSE Kraków
- III. Zespół Taneczny Uniw. Poznańskiego

WYRÓŻNIONE:

Zespół Taneczny PWSP Łódź
Zespół Taneczny WSWF Wrocław
Zespół Taneczny SI Szczecin
Zespół Taneczny UJ Kraków

W KATEGORII ZESPOŁÓW WOKALNYCH

- I. Kwartet Męski SI Szczecin
- I. Tercet żeński WSE Poznań
- II. Tercet WSE Stalinoigród
- II. Kwartet WSE Kraków

W KATEGORII SOLISTÓW

- I. Kol. Brychcy — Politechnika Krakowska
- II. Kol. Ostoja — Uniwersytet Łódzki
- III. Kol. Dobrowolska — Uniwersytet Poznański

WYRÓŻNIENI:

kol. Pasiewicz — AM Rokicnica
kol. Słysz — AGH Kraków

No więc - skonfrontujemy...

AGNIESZKA OSIECKA

Już po obejrzeniu dwóch programów Studenckiego Teatru Satyryków da się stwierdzić rzecz niezwykle cenną — **ten teatr ma swoje własne, odrębne oblicze**. Składa się na to szereg czynników: zerwanie z oklepanymi formami konferansjerki, wiele ruchu na scenie, niezwykłe tempo — rytm przedstawienia (to ma w sobie coś z filmu o dobrym, zaskakującym montażu), dużo poezji i wreszcie umiejętne nawiązywanie do klasyków humoru (i to humoru nie tylko w jego najbardziej „swawolnej”, rozhasanej formie) — przedtem Szekspir, teraz Gałczyński. Korzystanie z tych źródeł przejawia się nie tylko przez bezpośrednie wprowadzanie wielkich twórców na scenę, ale i przez pewne — bardzo ładne — „prześiąknięcie” nimi (dowodem monolog W. Dąbrowskiego o „Kalendarzyku Orbisu”).

Na koniec to, co mnie osobiście u „Studentów” najbardziej chwyciło za serce — śliczna scenografia: takie np. rozwiązanie scenograficzne parady francuskich piosenek z rozbrajającym „wyszedłem i księżyc” i nocna uliczka z krzywym latarniami — bardzo „gałczyńska”, dbałość o kolorową plamę... Co to znaczy jednak potęgą skrótu — oszczędność i bogactwo za jednym zamachem utalentowanego pędza.

Aha, prawda — chodził przecież o zespół amatorski, więc należy się jeszcze jedna pochwała: wszyscy świetnie umieją tekst. Ba — „umieją” to stanowczo za słabo powiedziane, ale trzeba to tak sformułować, gdyż w porównaniu z innymi zespołami biorącymi udział w eliminacjach nie jest to umiejętnością aż tak oczywistą.

Co jednak uderzyło mnie najbardziej w ostatnim programie i co jednocześnie spowodowało mój gorący protest — to jego wymowa polityczna... Bardzo mi zależy na tym, żebyście nie posadzali mnie o „ponuractwo”. Postaram się zresztą jak najsensowniej uargumentować swoje stanowisko.

Otóż, wymowa polityczna „Konfrontacji” jest, krótko mówiąc, taka:

„ZMP jest to organizacja, która w swojej działalności posługiwała się dwiema metodami:

a) „trzymaniem wszystkich za mordę” — do II-go Zjazdu (przy czym „trzymali” tępac i karierowicze)

b) daniem całkowitej swobody młodzieży po II Zjeździe (przy czym jest to w tej chwili młodzież rozbisurmaniona do ostatnich granic)

Obie te metody spaliły na panewce; druga definitywnie zniszczyła to, czego dokonała pierwsza — znaleźliśmy się więc w punkcie wyjścia, czyli wynik bilansu — zero.”

Przyznacie, że wiele w tym pesymizmu i... cynizmu. Ale poszukajmy przykładów, odwołajmy się do przedstawienia, aby uzasadnić takie właśnie jego „odczytanie”.

W monologu chuligana wyrażona jest taka myśl. To on, chuligan, pierwszy entuzjazmował się jazzem, to jemu pierwszemu nie podobają się powieści produkcyjne!... A teraz — co? Teraz jego poglądy stały się „modne”, teraz posługują się nimi „przewodcy” partyjni i zetempowscy. A on biedny nie zna najnowszej amerykańskiej tańca. Nie umie. Próbuje — nie udaje się. Gdzie by się tego nauczyć? — Chyba w kole ZMP...

Sądzę, że ten tekst nie uderza bynajmniej w „przejęcia”, jakich niesposób uniknąć w dążeniu do poprawy pracy organizacji. On uderza w samą istotę przemian (pozwólcie na odrobinę pasji)... Więc co? Czy my krytykujemy powieści

Druga, podobna historia. Dwóch aktywistów „szufladkuje” ludzi według bezdusznych schematów — wzorów (n. b. jest to bardzo dowiecnie zainscenizowane). Nagle — telefon. Nowe instrukcje. Aktywiści wpadają w panikę. Przerwyją urzędowanie. Widzimy później na scenie ów „nowy kurs”. „Zapisujecie się do ZMP! To taka śliczna, bezpartyjna organizacja”.

Przytaczając te przykłady, mogę być źle zrozumiana: „Jak to — zapytacie — czytymy kwestionowała to, że istnieli i że jeszcze istnieją bezdusznymi, tępi pseudo — aktywiści? Czyżby odważyła się twierdzić, że nie ma i nie było ludzi, którzy zamiast przekonaniami i sercem, kierowali się w swojej pracy „odgórną” wytyczną? Czyż nie należy się im spora porcja satyry i to jak najbardziej „ciętej”?

Nie, nie kwestionuję tego wszystkiego i uważam, że należą się tym

zmiany, których przeprowadzenie uważamy w naszej organizacji za konieczne, przekreślają wszystko, co do tej pory zostało zrobione. Wątpię, czy znajdzie się wśród nas ktoś, kto w swojej „przeszłości organizacyjnej” nie potrafiłby znaleźć niczego zasługującego na szacunek i na stwierdzenie, że „to a to zawdzięczamy ZMP”.

Sądzę, że linia przemian w naszym kraju, a więc i linia rozwoju ZMP jest linią wznoszącą się w górę, nie jest to natomiast pewna ilość „etapów” nakładających się na siebie i nawzajem się doszczętnie przekreślających.

Teatr Studencki pokazał taką np. historię zabaw studenckich: najpierw przedwojenna, korporacyjna hulanka (doskonale zabrana), potem nudna wieczornica z zabawą „lampa-nos”, na koniec — balagan, zamieszanie; jedni piją na modłę korporacyjną, w sąsiednim kącie gromadka bawi się w „lampa-nos”, a inni jeszcze biegają beładnie, nie wiedząc co robić...

Jako pojedynczy numer byłby to może jeden z najcenniejszych punktów programu. W całości jednak (owa historia z jedwabną muszką, z chuliganem...) potęguje ów nastroj pesymizmu, nastroj zaułka, w jakim znaleźliśmy się po przezwodowaniu szmaty drogi — nastroj „biednego koła”.

Czy to jest prawda? „Skonfrontujmy”. Czy naprawdę wszystko, co mamy za sobą, to tylko „dyrgowanie”, „terror”, a to co nas otacza obecnie, cała „odwiliż” — to tylko balagan i pijatyki?! Poszukajmy przykładów w życiu.

Długo narzekano na wydziale dziennikarskim na nudę i brak ruchu intelektualnego. Teraz jest piśmo „Horyzonty”, zespół satyryczny, Trybuna Dyskusyjna, młodzieżki klub literacki...

I ośmielam się twierdzić, że niemożliwe jest, aby nudził się wydział człowiek, który naprawdę nie chce się nudzić. Ośmielam się również twierdzić, że ten stan rzeczy (na pewno nie idealny, ale będący oznaką olbrzymiego kroku naprzód) nie odbył się w wyniku jakiejś jazdy „od wytycznej do wytycznej”. Nie zauważyłam również, żeby po II Zjeździe aktywiści jak na komendę zdjęli krawaty i ubrali się w cowbojskie kapelusze. W ogóle — niezależnie od wszelkich późniejszych „przejęć” II Zjazd nie został na ogół zrozumiany jako sygnał do maskarady, a raczej jako podsumowanie pewnych problemów i tendencji, które dojrzały do omówienia. A to, że one dojrzały, jest wynikiem rozwoju, a nie bieganiny od „etapu” do „etapu”.

Wynikiem owego niezaprzecznego rozwoju jest również powstanie — na długo przed II Zjazdem — tak przez nas wszystkich serdecznie lubianego... Studenckiego Teatru Satyryków.

MAREK HLASKO

O niespokojnych sercach

Od dłuższego czasu zafascynowany jestem genialnym pisarzem, którego samo nazwisko stało się pojęciem choroby, rozkładu i beznadziejności, przez którego rzekomo każdy w młodości przejdzie musi tak, jak przechodzi się przez koklusz, odrę lub dyfteryt. Zapewne jest w tym i wiele racji. Jednak wokół pisarstwa i osoby Dostojewskiego narosł olbrzymi, fałszywy mit i dziwić się należy, iż nikt nie usiłował nawet w ciągu dziesięciu lat napisać choćby dwóch słów o osobie tego pisarza, który jest chyba najbardziej tragiczną postacią w historii literatury rosyjskiej i którego pisarstwo tak olbrzymim ciężarem leży na literaturze świata.

Dostojewski nie wierzył w pozytywne szczęście człowieka na ziemi. Filozofia Dostojewskiego jest filozofią dziesięcioletniego dziecka, jeśli w ogóle filozofia nazwać można to, co proponował człowiekowi Dostojewski. Gorki — ten najczystszy chyba w literaturze człowiek — pisał w swym pięknym szkicu „O literaturze”:

„Dostojewskiemu przypisuje się rolę poszukiwacza prawdy. Jeśli jej w ogóle szukał, to znalazł ją w zwierzęcych cechach człowieka i znalazł nie po to, by je obalić, lecz po to, by usprawiedliwić (...). Trudno zrozumieć, czego właściwie szukał Dostojewski, ale pod koniec swego życia doszedł do wniosku, że jeden z najbardziej utalentowanych i słabych Rosjan — Wissarion Bieliński, to „najbardziej śmieszny, tepe i haniebny zjawisko w życiu rosyjskim”, że trzeba Turkowi odebrać Stambuł, że prawo pańszczyżniane sprzyja rozwojowi „najbardziej moralnego stosunku pomiędzy chłopem a obszarnikiem” i uzał wreszcie za swego mistrza Konstantego Pobiedonoscewa — jedną z najbardziej ponurych postaci Rosji XIX wieku. Ge-

pod względem siły ekspresji talent jego porównać można tylko z talentem Szekspira. Ale jako człowieka, jako „sędzię świata i ludzi” bardzo łatwo go sobie wyobrazić w roli średnio-wiecznego inkwizytora”.

I oczywiście nie jego sądy moralne, nie sądenie świata i ludzi — dziś jeszcze mogą pociągać nas w tym pisarzu, który chyba z taką pasją jak nikt inny na świecie, przełatał swe osobiste kłeski i rozczarowania na kartki papieru i kazał wierzyć nam, że zarówno świat jak i istniejące według niego życie przyszłe, to tylko „ciemny pokój o zamkniętych drzwiach i pełen pajaków”. Dostojewski — tak jak pisał o nim w jednej ze swych „Niebieskich kartek” Adolf Rudnicki — pozostanie naprawdę przedmiotem śmierci.

Nie czas tu zresztą i miejsce pisać o nim. Jednak w piśmarstwie Dostojewskiego jest coś, co mimo wszystkich oporów moralnych musi czytelnika pociągnąć i kazać mu wierzyć, że Dostojewski szukał i znalazł moralny raj dla swych bohaterów, brzydki jest jednocześnie nudy i czyni, mam wrażenie, jest stały i ciągle niepokój Dostojewskiego, jego ciągłe poszukiwanie prawdy i sądów moralnych dla każdego czynu człowieka. U Dostojewskiego każdy szuka prawdy: Iwan i Dymitr Karanazowie, Stavrogin, Raskolnikow, Myszkina: każda właściwie epizodycznych nawet postaci bez przerwy miała się w poszukiwaniu czegoś, w imię czego należy żyć; żaden człowiek nie potrafił się od sądenia siebie i bliźnich. Niestety — są sądy zatrważające odczech, odbierające sen i wstrzymujące biek serca.

Literatura naszego kraju nie była nigdy literaturą spraw ostatecznych, spraw poszukiwania, spraw honoru i godności, spraw wielkiego wyboru. Mamy wiele książek obyczajowych i historycznych, lecz tak bardzo mało książek, w których wybierałby człowiek. W literaturze dwudziestolecia wybierają bohaterowie Żeromskiego — lecz którzy jeszcze?

Być może, że „Ferdydurke” to ciekawy obrazek karkołomnej ekwilibrystyki umysłowej i tej czy innej postawy filozoficznej wobec świata, lecz śmiać i płakać chce mi się na myśl o tym, że książka ta powstała wtedy, kiedy pisało się po kraju kilka milionów bezrobotnych, kiedy w więzieniach zwyrodniali na rozkaz władz dusili komunistów, kiedy przeprowadzano pacyfikacje i ludzie kowali z głodu. W literaturze zostają tylko te książki, których bohaterowie każdej chwili wybierają muszą ponieść prawdę a klamstwem, wielkością a małością, pieśnią a sykaniem, życiem a śmiercią. Inne pozostają tylko martwym morzem, po którym przepływnie wszystko to, co żywe i niespokojne. O nie — pisarze nasi nie byli pisarzami niespokojnego serca.

Literatura dziesięciolecia stworzyła kilka prawdziwych postaci ludzkich i my często w naszych myślach zwracamy się do nich, lecz nie stworzono dotąd bohatera rewolucji, bohatera ciągłej walki; nie ma dotąd w naszej współczesnej literaturze człowieka, który pomagałby nam żyć i przeskądzałby wtedy, kiedy chcemy postąpić inaczej niż on. To drugie jest równie ważne jak i pierwsze: ostatecznie zawsze sięgnąć można myślą do Ali z elementarza i zjeść śniadanie równie przeczenie jak i ona, podczas, gdy o wiele trudniej jest nie zrobić czegoś tylko dlatego, że nie zrobiłby tego ktoś, kogo kochamy w książce. Bohaterowie muszą przekazać.

Słusznie pisał kiedyś Jerzy Putrament, że na pytanie: jak brzmie nazwisko zachłannego mieszczaństwa — odpowiadamy — Artamonow; jak się nazywa inteligent-utopista — odpowiadamy — Judym; jak brzmie imię człowieka, który nie zdolny jest do powzięcia decyzji — Hamlet. Nie możemy w ten sposób określić bohatera współczesnej powieści. Kim jest np. Mroczek? Odpowiadamy: Mroczek jest małorolnym chłopkiem z tragicznymi obciążeniami przeszłości, który waha się czy ma, czy też nie ma przystąpić do spółdzielni produkcyjnej.

Cóż my naprawdę wiemy o marzeniach i cierpieniach bohaterów i silniejszą od wszystkich nocy. Ona naszej literatury? Nic. Oni nie są także nam, abymy wobec wszystkich wypelnieni myśłami, oni są tylko

n a k r ę c e n i myśłami. O, wewnętrzny świat tych ludzi podobny jest do dna garnka, po którym pęła się kilka ziarenek fasoli: przystąpić czy nie, zapisać się czy nie, przełumać się czy nie. Nie, nie mamy literatury spraw ostatecznych.

Gdybyśmy obliczyli wszystkich ludzi, których uśmiercono w naszej literaturze powojennej, cyfra przerażałaby nas niewątpliwie: pod względem ilości zamordowanych, załamszonych, rozstrzelanych, tych którzy padli na stanowisku i tak dalej — nie mamy chyba równych sobie na świecie. Lecz czy pamiętamy jak gwieci ci ludzie? Jedyń, naprawdę chyba wstrząsającą sceną śmierci w naszej powojennej literaturze dotyczącej walki o władzę ludową, jest chyba śmierć starego chłopca we „Władzy” Konwiewskiego. Mam wrażenie zresztą, że książkę tę wyrządzono dużą krzywdę; można mieć do Konwiewskiego miliony pretensji, lecz trudno książkę jego odmówić żarliwości i pragnienia powiedzenia prawdy. U Konwiewskiego jest atmosfera niepokoju i poszukiwania; u innych świat podobny jest do małego mieszkanka na Mariensztacie, dokąd od czasu do czasu zakrada się ohydny wróg, aby wykraść plany fabryki sztucznych zębów.

Należy do tych najmłodszych debiutujących, do tych, na których nikt jeszcze nie postawi złamanego groza, gdyż trudno stawiać się na kogos kto napisał pięć wierszy lub pięć opowiadań. Ponieważ należę do nich, mam w końcu jakieś prawo pisać o dwudziestolennich. I nie mogę oprzeć się myśli, że nasi starzy pisarze czas dziesięciolecia wypelnili miłoceniem.

Zginęły tysiące ludzi w walce o władzę, zbudowano setki wspaniałych rzeczy i popelniono być może wiele cmylek, jedni się spodlili i poszli do więzień lub jak gnilne grzyby zatrująwaj ciało naszego społeczeństwa, a drugim będziemy stawiać pomniki na placach i ulicach naszych nowych miast; wychowaliśmy wspaniałą, ideową młodzież a między nami wyróśli także chuligani, szpiegdy i banduci; przez lata każda rodzina w Polsce składała się z kilku obozów, przez wiele lat cierpieliśmy niedostatek i rozmaite biedy nas dręczyły, błąkaliśmy się i często — mając lat dwadzieścia — myśleliśmy, że nie ma dla nas życia, że jesteśmy obcy i niepotrzebni; jednego dnia marzyliśmy o partii, drugiego — nie rozumieliśmy jej polityki; przegrywaliliśmy nasze miłości dlatego, że druga strona nie chciała uznać naszej prawdy i naszego życia; szukaliśmy w literaturze tak samo niespokojnych serc, jak nasze — i w czym pomogli nam nasi starzy pisarze?

Pisali inteligentnie rachunkli sumienia, wspomnienia z dawnej Warszawy, mówili nam o swych udrękach sprzed lat trzydziestu, podczas gdy serca nasze były pokryte świętymi ranami; mówili nam o miłościach, które przeżyli niegdyś, podczas gdy my nasze straciliśmy wczoraj; powtarzali nam anegdoty Franciszka Fiszera, a nie widzieli jak wielu z naszego pokolenia stacza się i marnuje najlepsze lata swego życia; nie widzieli o tym, że my, często widząc i budując fabryki, miasta i huty — nie widzieliśmy w tym nic dla siebie, że często ciągnęła nas do przodu ogromna prawda naszych czasów a nie mogliśmy postąpić do przodu ni kroku, gdyż do naszych rąk i serc uciepiły się te wszystkie sprawy i ci ludzie, których kochaliśmy od dziecka.

I cóż powiedzieli nam nowego oni? Wygrzebujący z głębi swych serc i dusz wątpliwości, które my — mając po lat dwadzieścia — musieliśmy mieć dawno poza sobą, by nasi rówieśnicy nie zarzucili nam, że jesteśmy starcami. I czy może nam się ktoś dziwić, że często ułamał prawdę o życiu, miłości czy śmierci szukaliśmy dla siebie w monologach bohaterów Szekspira, w belkocie ludzi Dostojewskiego, że cierpiąc szukaliśmy prawdy naszego życia u Wertera, że szukaliśmy jej w pesymizmie bohaterów Żeromskiego. Podczas gdy nasi pisarze mówili nam o swych miłościach, jak nie przeżyli w słonecznej młodości przed laty — my traciliśmy nasze dzieciństwo, nasze matki odwracały się od nas gdyż nie chcieliśmy uznać Boga, a nasi ojcowie wyrzucali nas z domu i przeklinali na drogę, gdyż bardziej kochaliśmy życie od bomb atomowych.

Czyż może nam się dziwić ktoś, że popelniliśmy tysiące omyłek, jeśli o wszystkim, co działo się najtragiczniejszego na świecie — milczeliśmy najbliżej? O, nie! Nasze czasy nie są czasami wesela na wsi i nalego mieszkanka na Mariensztacie. Nasze czasy są czasami niespokojnych erc. Nikt z nas nie może być spokojny do chwili, kiedy w Polsce będzie źle choćby jednemu człowiekowi, jeśli wśród nas będzie choćby jeden podły. Teraz, jeśli nasze serca ustają choćby na jedną chwilę w niepokoju — od tej chwili przestaniemy być komunistami. Jeśli jesteśmy komunistami, musimy mieć wielkie oczy: musimy mieć wielkie oczy. Wsparci ogromną prawdą, musimy mówić o wszystkim co wydaje nam się złe i musimy się cieszyć, jeśli inni udowodnią nam, że popelnialiśmy omyłki tak czy inaczej osądząc.

Mamy ogromną prawdę, ogromniejszą od wszystkich pomników i silniejszą od wszystkich nocy. Ona także nam, abymy wobec wszystkich pozostałi niespokojni.



Scena zbiorowa z „Rozrywek” Abramowa. W roli prelegenta — Adam Doliński. Foto: CAF

produkcyjne z pozycji chuligana? Czy ten biedny jazz, wokół którego zobiono skądinąd wiele fałszywego szumu (patrz: „Samba” Minkiewicza), przywrócony został estradom i parkietom ze względu na chuligańskie racje? Czyżby to on, chuligan, był prekursorem zmian, o jakie walczymy?! — II Zjazd nie był zjazdem bikiniarzy!

Weźmy dalej taką scenkę. Przy kawiarńskim stoliku spotyka się dwóch młodych ludzi. W pierwszej chwili się nie poznają, w następnej okazuje się, że jeden z nich jest aktywistą, który kiedyś „wyłaził” swego rozmówcę z organizacji („...naprawdę, nie przypominam sobie, tyś się wtedy wyrzuciło...”), a to za jakiś prawdziwie chuligański wybrak!... za jedwabną muszkę. Kawiarziana rozmowa toczy się jednak w przyjacielskiej atmosferze — teraz i jeden i drugi ma jedwabną muszkę.

To nieważne, dlaczego ten młodzieniec był usunięty z organizacji, grunt, że nosi muszkę, a teraz jest „kurs” na muszki...

ludziom porządne baty. Należą się, ale nie w takim ujęciu jak w „Konfrontacji”. W tym programie bowiem zarzuty były jakoś bardzo rażąco zgeneralizowane — ciągi brało całe ZMP, cała organizacja. Kiedyś — mówi „Konfrontacja” — ZMP było gromadą pokrzykujących tumanów, terroryzujących biedne „masy”, teraz jest to jeden wielki balagan. A tak przecież nie jest!

Powtarzam: to prawda, że byli (i są) aktywiści, których jedynym „przekonaniem” był „dobry niuch”. Ale byli też tacy (i tych była ogromna większość), którzy działając w najlepszej wierze, popelniali błędy w kierowaniu młodzieżą. Te błędy się im wypomina, te błędy się krytykuje i powoli naprawia, ale to nie uprawnia do postawienia znaku równości między tymi ludźmi a karierowiczami i obłudnikami! Nie można też powiedzieć, że

Na Kongresie francuskich studentów

(Dokończenie ze str. 2)

Dokładnie opisana była wizyta grupy 25 studentów radzieckich.

Na komisji międzynarodowej szczegółowo dyskutowano dokument zatytułowany: „Wymiany międzynarodowe, część I — wymiany z narodowymi związkami krajów Europy Wschodniej”; zawierał on szczegółowe projekty zaproszeń delegacji do Francji, m. in. 20-osobowej grupy z Polski. Został on jednomyślnie zaaprobowany przez Kongres. Część II dokumentu w ogóle nie było (!). Wreszcie wielu delegatów po moim wystąpieniu, w którym informowałem także o projektowanych studenckich imprezach Festiwalu w Warszawie, zapytali mnie o szereg szczegółów, o warunki wyjazdu na Festiwal, wyrażało chęć wyjazdu, mówiło o przygotowaniach do Festiwalu na ich uczelniach. Byli to studenci o rozmaitych poglądach politycznych.

Mogłem się także przekonać, iż wśród studentów francuskich żywo wciąż nurtuje idea jedności międzynarodowego ruchu studenckiego. W komisji międzynarodowej ci, którzy usiłowali dowiedzieć, iż jedność ta jest niemożliwa — musieli się wycofać z dyskusji. Pozostali jedynie różne stanowiska co do bazy tej jedności. Kongres nie udzielił poparcia międzynarodowej polityce kierownictwa NZSF. Wyrazem tego było odmówienie znaczną większością głosów absolutorium ustępującemu v-przewodniczącemu, który tymi sprawami kierował.

Stowarzyszenia z Tours i Grenoble wypowiadziały się za przystąpieniem do MZS w charakterze członka — jest godne pożałowania. Decyzja taka stowarzyszonego, szereg stowa-

rzyszeń (np. Nancy) za udziałem NZSF w naukowych, sportowej itp. działalności MZS. Komisja międzynarodowa Kongresu przyjął wniosek o nawiązanie „technicznych” kontaktów MZS i wystąpienie do MZS w sprawie zmian statutu, które umożliwiłyby powrót NZSF do MZS.

Lecz tu powtórzyła się historia z Tunisie. Plenum Kongresu wniosek ten odrzuciło 143 głosami przeciw 139. Argumentacja przeciwników wszelkich stosunków z MZS na plenum Kongresu była mało poważna, a często wręcz fałszywa, opierająca się na wypaczeniach prawdę źródeł. Główny argument: MZS na ostatnim posiedzeniu KW w marcu br. wypowiedział się za zakazem broni atomowej i wezwał studentów do organizowania zebrań w tej sprawie. Inny argument polegał na cytowaniu sprawozdania grupy obserwatorów francuskich na Radzie MZS w Moskwie, które stwierdzało, iż MZS postawił sobie jako główne zadania: 1) walkę o pokój, 2) walkę o niepodległość Gibraltaru (sic!).

Kongres przyjął natomiast 146 głosami przeciw około 130 wniosek upoważniający kierownictwo do pertraktowania z MZS na temat proponowanej przez MZS na rok 1956 Konferencji Współpracy. Utrzymał także w mocy postępowe stanowisko NZSF w sprawie organizacji Międzynarodowych Igrzysk Akademickich.

Przyjęcie minimalną większością głosów przez Kongres decyzji niebrania udziału w działalności MZS w charakterze członka — jest godne pożałowania. Decyzja taka stowarzyszonego, szereg stowa-

szeregu kontaktów międzynarodowych, których oni pragną; ogranicza ona i nasze możliwości kontaktów z nimi. Nie ma bowiem nic bardziej fałszywego niż teza, iż wystarcza dwustronne kontakty. Te kontakty są zawsze ograniczone: wymiana delegacji, jakieś pojedyncze imprezy. Natomiast nie można „dwustronnie” organizować międzynarodowych turniejów sportowych, dyskusji naukowych, konkursów kulturalnych, seminariów. Takie wielostronne spotkania najlepiej służą zacieśnieniu przyjaźni, wzajemnemu poznaniu się. Takie spotkania organizuje MZS. Takie spotkania są i dla nas najbardziej interesujące i w ich organizowaniu bierzemy czynny udział. Przykładem — Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie.

Sądzimy, że studenci francuscy przekonają się w praktyce o niesłuszności decyzji Kongresu i zrewidują ją. Jesteśmy pewni, że Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie, na który przybędzie (choć nie z ramienia NZSF, lecz z ramienia lokalnych stowarzyszeń i indywidualnie) wielu studentów francuskich, przyczyni się waleń do zrewidowania tej decyzji.

*

Cóż ogólnie można powiedzieć o Kongresie NZSF? Bez wątpienia podjął on przede wszystkim w sprawach wewnętrznych szereg demo-

JAROSŁAW ŁADOSZ

„STYPUCHA“

Moskwa, 4. IV. 55 r.

Jurek!

Już od dawna zamierzałem do Ciebie napisać, nie bardzo wiedziałem jednak czym Cię zanudzać. O moim życiu osobistym nie będę pisać, gdyż znasz mnie na tyle, że możesz się domyśleć co porabiam. Moja działalność na polu historii jest zbyt skromna, abym Cię trudził jej opisywaniem, bo jedynym jej przejawem jest systematyczne odsiadkiwanie wielu godzin na wykładach według planu opracowanego przez dziekanat. O Moskwie i ZSRR chyba wiesz nie mniej niż ja i zresztą naprawdę trudno o tym pisać.

Są jednak drobne sprawy i nie tak ważne, o których nie piszę w gazetach, chyba dlatego, że autorzy starają się w krótkim okresie delegacji służbowej uchwycić rzeczy zasadnicze, najważniejsze. Ja jednak będę pisał o tych podrzędniejszych szczegółach naszego życia.

Wiadomo, że stypendium odgrywa ucale nie poślednią rolę w procesie zdobywania wiedzy na wyższej uczelni. Z tych to przyczyn piszę dziś na temat systemu stypendialnego w ZSRR, co Ciebie jako studenta powinno zainteresować.

Student wstępujący tu na wyższą uczelnię jest o tyle w wygodniejszym położeniu niż u nas, że nie musi z wywieszonym jęzorem latać po najrozmaitszych komisjach i dobijać się o przyznanie „stypuchy“ — jak tu pieszczotliwie nazywają stypendium. Z drugiej strony społeczne i administracyjne organy też mogą sobie zaoszczędzić niemało roboty związanej z rozpatrywaniem podań o stypendium. Te obustronne udogodnienia wypływają z faktu, że k a ż d y s t u d e n t bez względu na: położenie materialne, moralną postawę, stosunek pradiadka do powstania dekabrystów itp. — automatycznie otrzymuje stypendium, którego wysokość w zależności od roku i uczelni waha się od 200 do 400 (z czymś tam jeszcze) rubli miesięcznie.

Ta idylla trwa tak długo, dopóki student nie złapie trójki. Wówczas automatycznie, bez udziału i decyzji

Wbrew obowiązującym zwyczajom towarzyskim publikujemy prywatny list napisany przez Polaka, studenta moskiewskiego Uniwersytetu im. Lomonosowa, ERNESTA SKALSKIEGO.

jakichkolwiek czynników zostaje pozbawiony stypendium na cały semestr. Jeżeli zaś zda całą sesję na bardzo dobrze — wówczas przez semestr otrzymuje stypendium podwyższone o 25 proc. Co prawda temu szczęśliwcowi podwyższa się także wszystkie (a jest ich chyba nie mniej niż u nas) składki, ale to na ogół nie załamuje jego radości.

Jak więc widzisz system ten opiera się w zasadzie na socjalistycznym prawie: „każdemu według zasług“, student staje się materialnie zainteresowany w wynikach nauki. Jednakże zmuszony jestem zauważyć, że stosowanie do studentów tej bezpośrednio słusznej zasady ma według mnie pewne niedostatki.

Przy takim systemie może się np. zdarzyć, że egzaminator — z bar dziej miękkim sercem — może się wzruszyć i naciągnąć jakieś ofierze stopień, rozumując prawdopodobnie w ten sposób: „ten i tak więcej nie będzie umiał, niech więc choć odżywia się dobrze, a może od tego zmańdrzeje“.

Jeśli student otrzyma trójkę, to poprawić ją w tej samej sesji jest mu bardzo trudno, trzeba bowiem dostać na to specjalne pozwolenie dziekanatu. Przy dwójce zagadnienie staje się o tyle prostsze, że trzeba i można ją poprawić — inaczej zostaje usunięty z uczelni. Tym więc tłumaczyło się na pozór paradoksalne postępowanie pewnego studenta, który przekonaawszy się na egzaminie, że zapas posiadanych wiadomości plus niewątpliwie talent oratorski nie zdolają mu zapewnić czwórki — zdecydował się na otrzymanie dwójki, odmawiając w ogóle odpowiedzi. Bał się bowiem, że egzaminator nie dcmyslił się, by ją postawić — i oceni jego umiejęt-

ności na „dostatecznie“, co z kolei pozbawi go stypendium.

Gdyby „wypadek“ z trójką zdarzył się jednemu z tych nielicznych, którzy zdani są wyłącznie na stypendium, to teoretycznie musiałby chyba rezygnować ze studiów. W praktyce tak jednak na ogół nie bywa, gdyż student taki w tym wypadku łatwo otrzymałby w dziekanacie możliwość powtórzenia zdawania. Tu już sprawy materialne jawnie górują nad naukowymi (dziekan też ma serce).

Z drugiej strony są i tacy, którzy uczą się dobrze albo źle, ale w żadnym wypadku zagadnienie pieniędzy nie wpływa na ich naukę. Jest to zrozumiałe, jeśli dodam, że taki student wydaje całe stypendium tylko na drobne wydatki, a to dzięki pomocy ze strony rodziny. Po co im w ogóle dają stypendium — nie wiem, gdyż materialnego znaczenia ono dla nich nie ma, a i wychowawczego też się jakoś nie mogą dopatrzeć.

Abys mnie nie sądził, że piszę tę krytykę z obawy, abym sam nie został bez pieniędzy — muszę Cię zapewnić, że ja jako cudzoziemiec nie podlegam tym prawdom. Niezależnie od swych wyników w nauce otrzymuję stałą sumkę. Stać mnie więc na obiektywny sąd w tej sprawie.

Z wrodzoną sobie skromnością muszę stwierdzić, że poruszone przeze mnie wady systemu stypendialnego nie są palącym problemem, gdyż dotyczą tylko bardzo małego procentu studentów. Np. na naszym III roku historii jest ponad 250 ludzi, z tego podwyższon stypendium otrzymuje więcej niż 60 (to znaczy, że mają oni same piątki), zaś pozbawionych stypendium jest tylko 15. Mniej więcej tak samo wygląda sytuacja na innych la-

tach i wydziałach oraz w innych uczelniach. Na podstawie tych faktów nawet Ty możesz wyciągnąć wniosek, że prawie wszyscy studenci w ZSRR otrzymują stypendium. I że wszyscy uczą się lepiej niż w Polsce.

To jest oczywiście tak wielkie osiągnięcie, że nie zatrą go wszystkie przytoczone powyżej niedostatki systemu stypendialnego. Zresztą o niedostatkach tych dyskutuje się coraz szerzej i podobno mają tu nastąpić jakieś reformy.

Na zakończenie chciałbym Ci zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. A mianowicie — studenci systematycznie (w ciągu co najmniej dwóch lat) wyróżniający się doskonałą nauką i pracą społeczną otrzymują tak zwane „imienne stypendia“ tj. stypendium im. J. W. Stalina, im. W. M. Mołotowa, i in. Stypendium takie wynosi dość dużo (np. im. Stalina około 700 rb.) i oprócz materialnej korzyści jest przedmiotem zasłużonej dumy. Takich wyróżniających jest niewiele. U nas na roku dwóch: Toszczenko — Komsomol, który pracuje przy katedrze historii KPZR i Garin — aktywista partyjny, a niegdyś porucznik Wojska Polskiego.

Mnie się te imienne stypendia bardzo podobają. Napisz mi czy u nas w Polsce jest coś takiego. Jeśli nie — to szkoda, mogliby wprowadzić. Ty co prawda i tak nie miałbyś żadnych szans, ale tym niemniej jako Twój przyjaciel szczerze Ci tego stypendium życzę.

Jeśli starczyło Ci cierpliwości by przeczytać tych „kilka słów“, to mam nadzieję, że nie będziesz się tak natarczywie domagał następnego listu. O ile by się zdarzyło, że nie miałbyś dosyć i odpisał mi jeszcze przed letnimi wakacjami (w co nie wątpię) to nie wykluczone że opiszę Ci jakieś inne zagadnienie, o ile Cię ono zainteresuje. Na tym kończę i przesyłam pozdrowienia wszystkim kolegom tudzież Tobie.

ERNEST



FRONTON PAŁACU NAUKI NA WZGÓRZACH LENINOWSKICH

W maju ubiegłego roku wychodzące w Brukseli pismo „Synthes“ poświęciło cały numer społeczeństwu amerykańskiemu. Zadaniem, które chciał osiągnąć organ „Europejczyków“, było propagowanie amerykańskiego stylu życia. Pod wieloma względami numer ten jest nader ciekawy. Z interesującego nas tu punktu widzenia szczególną uwagę skupić musi na sobie artykuł Beniamina Holtona „Czarni Amerykanie“. Autor stanął przed zadaniem wyjaśnienia europejskiemu czytelnikowi sprawy dyskryminacji rasowej w USA, sprawy, która jak wiadomo nie przysparza Stanom Zjednoczonym autorytetu za granicą.

„Istnienie przesądu rasowego i dyskryminacji rasowej — pisze Holton — stanowi jaskrawą obelgę w stosunku do podstawowych zasad demokracji amerykańskiej i amerykańskiego sposobu życia. Prawo jednak jest bezsilne, gdy trzeba zwalczyć idee“ (str. 190).

Prawo (a więc i państwo imperialistyczne) jest bezsilne w walce z przesądem rasowym. Nie państwo burżuazyjne i nie klasa panująca są więc odpowiedzialne za dyskryminację rasową. Winien jest przesąd. — Oto linia bardzo częstej argumentacji kół rządzących USA.

Jako dowód powołuje się tu na rozpowszechnienie poglądów rasistowskich w społeczeństwie amerykańskim. Jest ono rzeczywiście znaczne, ale skąd się bierze? Z wyciężonego i od dziesięcioleci prowadzonego propagowania idei wyższości rasy białej, idei amerykańskiego szowinizmu. Ta ofensywa rasizmu toczy się w najważniejszych dziedzinach. Jej narzędziem są fale eteru i metry taśmy filmowej, szpalty gazet i stronic poważnych prac naukowych.

Amerykańskie Towarzystwo Biblijne wydało w 1900 r. książkę Char-

lesa Carrola zatytułowaną „Murzyn — zwierzę“. Carrol dowodzi, zwierzęcej istoty Murzynów przy pomocy następującego argumentu: człowiek stworzony został na obraz i podobieństwo Boga, Bóg nie jest Murzynem, a więc i Murzyn nie może być człowiekiem. Dowód wielce przekonujący!

Jeszcze w 1925 r. laury Carrola nie dawały spać innemu autorowi amerykańskiemu, Frankowi P. Ballowi. W książce „Boskie stworzenie przeciw teorii ewolucji“ pragnie on za jednym razem zwalczyć teorię ewolucji i wykazać, że Murzyni nie są ludźmi.

„Murzyn jest zwierzęciem — pisze Ball — i był on w arce wraz z Noem i jego rodziną“. Dalej zaś dodaje: „Teoria ewo-

lucyjnym niż na umacnianym ignorancją sentymentalizmie“.

Przez „zachowanie rasy“ rozumieją Grant i Osborn stworzenie i utrzymywanie segregacji rasowej, która ma zapobiec mieszaniną ras.

O różnorodności metod i środków propagandy rasistowskiej świadczy fakt, że rasistom udało się pozyskać dla swoich celów Murzyna Williama H. Thomasa, który w swojej książce „Murzyn amerykański“ (New York 1901) dowodzi niższości własnej rasy.

„Murzyn — pisze Thomas — reprezentuje niższy typ ludzki... Murzyn nie posiada — w słowie czy w czynie — co byłoby godne zachowania“.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że cytowani autorzy stanowią krolew w

oblicze nowych pretendentów do roli „nadludzi“.

Senator amerykański, Theodore Bilbo, w swojej książce zatytułowanej „Wybierajcie: separacja lub wymieszanie ras“ (1947 r.) pisał:

„Społeczna równość białej i czarnej rasy i likwidacja rasowej izolacji nigdy nie odpowiadały ideałom naszego narodu. Każdy, kto nie podpisuje się pod tym sformulowaniem, kłamliwie interpretuje sens demokracji amerykańskiej, dąży — świadomie czy nieświadomie — do unicestwienia przyszłości naszej republiki i tym samym jest zdrajcą swojego kraju i swojej rasy“.

Na terenie historiografii wtóruje senatorowi Bilbo bardzo głośny historyk — rasista Allan Nevins. Dla Nevinsa mieszkańcy to „element niepożądany, rozpustny i leniwy“,

godną pochwały, gdyż wystąpił w obronie „wpaniałych zasad i tradycji Południa“ (por. na temat jego wypowiedzi fragment pracy M. Apthekera „Laureaci imperializmu“ zamieszczony w nr. 1(2) z 1955 r. „Zagadnienia nauki historycznej“).

Nie są to bynajmniej jedyni przedstawiciele rasizmu w nauce amerykańskiej. Profesor Uniwersytetu w New Yorku, H. P. Fairchild w swojej książce „Rasa i narodowość“ jako czynniki życia amerykańskiego (New York 1947) głosi, że antypatia rasowa jest uczuciem wrodzonym i z tego względu segregacja rasowa jest konieczna; co najwyżej mogą zostać zmniejszone jej rozmiary, ale jako zasada musi ona pozostać.

czowieka. Dzięki temu w walce przeciw rasizmowi biorą udział dość znaczne grupy uczonych. Na czoło wysuwają się amerykańscy marksiści. Prace wymierzone przeciw rasizmowi (np. historyczna praca Herberta Apthekera krytykująca historyków — rasistów) zajmują poważne miejsce w całokształcie walki ideologicznej amerykańskich marksistów.

Obok marksistów walkę przeciw rasizmowi podejmuje wielu uczonych liberalnych. Omawianie ich wkładu w walkę z rasizmem przekracza ramy niniejszych rozważań. Trzeba jednak podkreślić, że jest to wkład nader istotny, występujący w obronie godności nauki amerykańskiej szarganej przez rasistów.

*

Rasiści amerykańscy ubrani w togi uniwersyteckie odgrywają istotną rolę w propagowaniu dyskryminacji rasowej. Ich pomysły podchwytują następnie tuzy publicystyki. Trafiają one do filmu i powieści. Znajdują dostęp do szkoły.

Jeśli chcemy zdać sobie sprawę z metod wpajania uprzedzeń rasowych w społeczeństwie amerykańskim to rola naukowców — rasistów jest tu wymownym świadectwem. Rasiści opatrzeni w tytuły profesorskie sami są przeżarci przesądami rasistowskimi, ale też zaciekle przesyłają te propagują. Zaś kapitałisci amerykańscy popierają — i finansują — „naukową“ propagandę rasizmu.

Wróćmy do tezy Beniamina Holtona. Przesąd rasowy, który czyni on odpowiedzialny za dyskryminację rasową w USA, jest w rzeczywistości metodą stosowaną przez klasy panujące dla utrzymania tej dyskryminacji. Za jego istnienie ponoszą odpowiedzialność ci, którzy — w nauce i w innych dziedzinach — propagują rasizm. A wciągnięcie do tej dosłownie antyludzkiej akcji nawet uczonych jest wymownym świadectwem wartości amerykańskiej kapitalistycznej demokracji.

JERZY WIATR

JERZY WIATR

Nauka w służbie „nadczołowieka“

lucji głosi, że liczne rodzaje ludzi są wynikiem praw ewolucji, podczas gdy ja twierdzą, że wszyscy ludzie — poza czysto białymi, którzy są stworzeni na obraz Boga i czystej krwi Murzynami, którzy są zwierzętami — są wynikiem mieszaniny tych dwóch ras“.

Rasiści amerykańscy jeszcze przed hitler „wcami“, „wykryli“ wyższość nordycką nad innymi ludźmi. Madison Grant w 1916 r. w książce „Przemijanie wielkiej rasy“ głosił wyższość „rasy“ nordyckiej. Zaś autor przedmowy w książce Granta, H. F. Osborn pisał:

„Zachowanie tej rasy, która dała nam prawdziwy duch amerykańizmu — jest kwestią dumy rasowej czy też przesądu rasowego. Jest to kwestia miłości ojczyzny, kwestia prawdziwego uczucia oparte go bardziej na wiedzy i doświadczeniu

morzu propagandy rasistowskiej, jeśli pamiętamy, że propagandę tę uprawia się w oparciu o badania antropologiczne (np. E. A. Hooton), o testy inteligencji (np. A. C. Strong, B. A. Phillips) i inne pozornie naukowe metody i że wyniki tych badań są kolportowane w publikacjach największych wydawnictw — jeśli uwzględnimy to wszystko, to bez trudu zauważymy, jak silnym środkiem propagandy rasistowskiej jest pseudonauka.

Po wojnie — mimo gorzkiej nauki, jaką otrzymali rasiści spod znaku swastyki — sytuacja nie uległa większej zmianie. Rasiści amerykańscy lepiej się maskują, ale spoza tej maski wзира wyraźnie

W stosunku do Murzynów stosuje on typowy dla rasistów pracujących w nauce historii chwyt. Nevins głosi, że... w czasie niewolnictwa Murzyni byli pod opieką swych panów, a wyzwolenie pozbawiło ich tej opieki. Natomiast okres Wojny Domowej i Rekonstrukcji (1865—1877) budzi głęboką nienawiść Nevinsa. Rządy okresu Rekonstrukcji uważa on za „prawdopodobnie najgorsze spośród tych, które zna historia krajów anglosaskich“. Były one „najgorsze“ dlatego, że podjęto w tym okresie szereg prób zmierzających do zapewnienia Murzynom pełnych praw obywatelskich. Natomiast Ku Klux Klan — wg Nevinsa — był organizacją „malowniczą“,

Poza tymi jawnymi wypowiedziami rasistowskimi uprawia się propagandę wyższości ludzi białych przy pomocy pozornie obiektywistycznych badań etnograficznych i psychologicznych. Tak na przykład głosi się wyższość kultury amerykańskiej lub wyższość ludów mówiących po angielsku. Te formy rasizmu bezpośrednio służą nie tylko dyskryminacji rasowej wewnątrz kraju, ale także propagandzie podbojów kolonialnych.

*

Obraz nauki amerykańskiej byłby oczywiście wypaczony, gdybyśmy widzieli w niej tylko rasizm. Wśród inteligencji amerykańskiej nigdy nie wygasły ideały demokracji i praw

Odbiór

Jeszcze w sprawie bridża

Wypowiedź kolegi Z. Cieślaka w sprawie bridża (POPROSTU nr 20) zakrawa na donkiszoterię. Bridż zyskał już prawo obywatelstwa w wielu studenckich świetlicach i oto znów znalazł się „aktywista”, który twierdzi, że bridż jest grą bikiniarzy i ludzi ograniczonych umysłowo. Kolega Cieślak w swym artykule poważnie „skontrolował” kompromisową zasadę: „Nie grać w bridża do przesady”. Przytoczył szereg słusznych argumentów, ale... właśnie jest to „ale”.

Istotnie, większość bridżistów nie umie zachować umiaru i traci zbyt wiele czasu na tę przyjemną rozrywkę. Oczywiście, że odbija się to czasem ujemnie na wynikach w nauce lub jest powodem wymigiwania się od pracy społecznej. Zdarzają się też wypadki, że studenci grają na pieniądze, oczywiście — objaw przykry (nie trzeba go jednak brać zbyt tragicznie, bridż na szczęście nie jest grą hazardową). Z tymi zarzutami się zgadzam.

Nie rozumiem natomiast, jaki związek ma gra w bridża z walką klasową. Kolega Cieślak tego nie wytłumaczył, a mnie się przypomniało od razu „aktywista” z Wrocławia, który z kolei twierdził, że bridż ma nam pomóc w kształtowaniu naszego światopoglądu materialistycznego. (Z wypowiedzi na naradzie korespondentów POPROSTU).

Kolega Cieślak sugeruje, że studenci nauczyli się grać w bridża od bikiniarzy. To całkiem coś nowego! Ja przyznam się, że nie widziałem bikiniarza grającego w bridża. Przeciwnie, bridż jest grą ludzi inteligentnych i kulturalnie grających intensywnego myślenia: „oczko”, „tyśiąca” lub „pokera”. Znanie jest powołaniem wśród bridżistów: „impas dui gre”. Udany impas to przypadek, ale naiwne jest twierdzenie, że bridżista, który podczas gry liczy na przypadek — robi to samo na egzaminie.

Jeśli student oblał egzamin a zdarzyło się, że widziawszy go grającego w bridża — to „aktywiści” myślicy podobnie jak kolega Cieślak szybko wysnuwają z tego wnioski. Czy słuszne? W większości wypadków na pewno nie. Co prawda tłumaczenie takie jest wygodne i łatwe, ale ilu studentów nie wiedzących co to znaczy „szeląg w piątce” przystępuje do egzaminów poprawkowych? U nas, na

pierwszym roku wydziału rybackiego, „paczka” bridżowa utrzymywała się w komplecie aż do tej pory, choć po pierwszym semestrze odpadło prawie 30 proc. innych kolegów.

Analizując wypowiedź kolegi Cieślaka, wystąpiłem właściwie w obronie bridża granego z umiarem. W razie wznowienia walki z bridżem życząc koleżce Cieślakowi, by przeczytał sobie książkę Cervantesa — „Don Kichot”, a szczególnie uważnie — opis walki z wiatrakami.

JULIUSZ GRODZIŃSKI
WSR — Olsztyn

P. S. Nie wiem czy pamiętacie, koledy, że znany na całym świecie mistrz bridżowy Culbertson, walczył w Hiszpanii przeciwko faszystom. Może ma to jakiś związek pomiędzy bridżem a walką klasową?

Nowe zadania — nowe błędy

(Dokończenie ze str. 1)

zumnej i śmiałej reakcji na obłudę ze małkontentów.

Wydaje nam się, że stało się to m. in. dlatego, iż nie dostrzegano granicy między indywidualizmem, a indywidualnością. Krytykując indywidualizm nie troszczono się dostatecznie o wszechstronny rozwój, o pełną indywidualność naszych aktywistów, o ich rozwój intelektualny, kulturę i wrażliwość estetyczną. W ten sposób zdomował się u nas „model” aktywisty, który myślenia nie zaliczał do ważniejszych czynności życiowych, który koncertów symfonicznych, czy sztuk poważnych zbyttno nie lubił uważając, że jego jedynym obowiązkiem jest „być na linii”.

Pewna część aktywistów młodzieżowego przywykła przyjmować publikacje prasowe jako poglądy jedynie słuszne. I dlatego też jeśli zachodził niekiedy konieczność przeciwdziałania się im (jak się to ostatnio czasem zdarza) ludzie tego typu stają bezradni i dezorientowani.

Najwymowniejszym tego przykładem jest oddźwięk na „Wyrok” Stadnickiego (Nowa Kultura nr 261). Należy przyznać, że wielu aktywistów odpowiednio przyjęło to opowiadanie, krytycznie ustosunkowało się do uogólnień autora. Nie można jednak przemilczać faktu, że znale-

Wśród listów

Na Podhalu

Pierwszy dzień wiosny. W zagubionej wśród gór wiosce powiatu nowotarskiego panuje niezwykły ruch. Przyjechali tu bowiem dzisiaj naukowcy i studenci WSR z Krakowa. W ładnie udekorowanej sali szkolnej zebrał się po sumie chłopcy, gospodynie i młodzież z całej wioski. Najpierw przemawia prof. Treła, mówi o nowych formach gospodarki rolnej na Podhalu, o podniesieniu wydajności łąk i rozwoju hodowli.

Po nim inż. Jarosz w góralskiej gwarze opowiada chłopom o swym dzieciństwie, o tym, że on również jako młody chłopiec biegał po tych górach. Obecnie jako naukowiec zachęca górali do zakładania w gospodarstwach sadów, mówi o ich opłacalności. Górale słuchają z zapartym tchem. Gospodynie zaś szepczą między sobą: „Cie, cie, taki ponoczek, a dobrze po nasemu godo. Musi to jakis fajny chłop”.

Na skleconą na prędcie scenę wchodzi wysoki jak tyczka student. Musi się schylać, aby nie uderzyć głową o powalę niskiej, góralskiej szkoły. To kolega Pasieka, główny organizator tej akcji i konferansjer dzisiejszego występu. Od momentu jego wejścia na „scenę” na sali panuje niepodzielnie śmiech. Śmieją się wszyscy, młodzi i starzy, przez całą godzinę, aż do końca programu artystycznego.

Na zakończenie studenci wyciągają góralom 300 książek, które zebrał na uczelni. Ma to, być zaczątek biblioteki, jaką postanowili założyć w tej wsi. Rozstają się w przyjaźni. Gdy pogoda dopisze — znów się spotkają za kilka niedziel. „Wtedy i my wam coś pokażemy” — zapewnia miejscowa młodzież.

Nie tylko w niedzielę ale i w zwykły dzień studenci odwiedzają wieś. Zespół agitacyjny V grupy II

roku wydziału rolnego WSR pewnego popołudnia wyjechał do podkrakowskiej wsi Prusy.

Występy udaly się znakomicie. Tak chłopcy jak i studenci byli ze spotkania zadowoleni.

LUBOMIR PAWŁOWSKI
WSR — Kraków

Dwa pytania

Jestem asystentem Politechniki Warszawskiej. Obok zajęć naukowych, dydaktycznych, administracyjnych i organizacyjnych na wydziale należy mi się, jak sądzę, trochę odpoczynku. Jakże jednak go znaleźć wobec takiego programu moich zajęć w ostatnich tygodniach.

Wtorek, 19.IV. godz. 9 — zebranie grupy partyjnej;

Wtorek, 19.IV. godz. 16 — zebranie środowiskowej komisji przewodnictwa DS (połączone z lustracją Domów Studenckich);

Wtorek, 19.IV. godz. 19 — szkolenie związkowe (z uwagi na to, że poprzednie zajęcie przeciągnęło się do godz. 22 — znów na szkoleniu nie byłam).

Środa, 20.IV. — przypadkowo wolny wieczór (!);

Czwartek, 21.IV. godz. 19 — odprawa w KU Partii;

Piątek, 22.IV. — zebranie egzekutywy OOP;

Sobota, 23.IV. — szkolenie aktywów (wybaczyć, ale nie poszedłem, bo pojechałem z kolem naukowym na wycieczkę);

Niedziela, 24.IV. — Eliminacje studenckich zespołów artystycznych; Poniedziałek, 25.IV. godz. 16 — zebranie środowiskowej komisji oceny przewodnictwa DS;

Wtorek, 26.IV. godz. 10 — zebranie rady wydziału;

Wtorek, 26.IV. godz. 18 — zebranie grupy związkowej ZZNP;

Środa, 27.IV. godz. 19.30 — zebranie OOP PZPR;

Co będzie dalej? Ile zebrań jeszcze mnie czeka, tego nie wiem, bo dotąd nie ustalono. A teraz zadam dwa pytania:

1. Czy asystentowi przysługuje prawo do życia osobistego?

2. Kiedy asystent ma pracować naukowo, jeśli chwile wolne od zajęć na uczelni zajmują mu zebrania?

Mgr TUŁO SZENIRER
Politechnika Warszawska

Dedykujemy:

PAŃSTWOWEMU WYDAWNICTWU NAUKOWEMU W WARSZAWIE...

Nie znam ogólnych planów wydawniczych PWN, niemniej bardzo mnie one interesują. Ciekawy jestem jak w ich świetle oddział się wytłumaczył zamieszczonej pod tym tytułem, które niezapewne są zrozumiałe, oraz taki, że brak podręczników wciąż jest dla studentów jedną z największych bolączek.

Ponieważ jestem studentem wydziału geografii, dlatego przede wszystkim zależy mi na pozycjach wydawanych w tym dziale. Szczególnie dotkliwie odczuwam brak podręczników w języku polskim z geografii fizycznej ogólnej i regionalnej. Profesorowie starają się nam pomóc poprzez wydawanie skryptów i podręczników, ale wydawnictwa potrafią czasami pogrzebać nawet najlepsze chęci.

Tak np. zespół geografów krakowskich zaproponował PWN-owi, że w ciągu roku odda do druku skrypt z geografii fizycznej Polski. PWN proponuje nie przyjąć informacji, że podręcznik taki jest już opracowywany przez innych autorów, od tego czasu minęły cztery lata, a podręcznika jeszcze nie ma!

Niedawno prof. M. Kiliński oddał do druku pierwszą część podręcznika z geomorfologii (pierwszy podręcznik w języku polskim), lecz wydawnictwo zwróciło nie chcąc wydawać dopóki nie otrzyma całości. W ten sposób jeszcze długo będziemy musieli czekać na tak bardzo potrzebny nam podręcznik.

Przed paroma laty prof. Flis wydał skrypt: „Hydrografia i oceanografia” oraz „Kartografia i topografia”, które obecnie spotkać można tylko w niektórych bibliotekach naukowych i uniwersyteckich. Jednorazowe wydanie tych skryptów było zbyt szczupłe w stosunku do wielkiego zapotrzebowania ze strony studentów, a ich ponowne wydanie zależałoby wyłącznie od wydawnictwa.

Jest bardzo charakterystyczne, że PWN woli wydawać skrypty zamiast podręczników, gdyż honoraria autorów za skrypty i ich nakład są o wiele mniejsze. Wydaje mi się, że niewłaściwie jest wydawanie niektórych skryptów jedynie do użytku wewnętrznego danej uczelni,

np. skrypt „Geologia historyczna” prof. Rożyckiego wydany został w bardzo niskim nakładzie tylko do użytku wewnętrznego Studium Zaocznego WSP w Łodzi. A przecież ten skrypt byłby bardzo pomocny w nauce wszystkim studentom geografii i biologii w Polsce, którzy dotychczas korzystają tylko z wykładów, a niechętni spośród nich korzystają z podręczników Friedberga i Naumajera, wydanych przed pięćdziesięciu laty! Podobnych przykładów można by podać jeszcze więcej, najważniejsze by było jeszcze wydanie takich podręczników, z których mogliby się uczyć, a PWN ociąga się z ich wydawaniem. Prosimy PWN o podroczniki!

Opr. wg koresp. E. JONCY z Krakowa

REKTORATOWI UNIWERSYTETU IM. B. BIERUTY WE WROCŁAWIU...

Władze uczelni Uniwersytetu Wrocławskiego zadecydowały i — powstała studencka kawiarnia. Ze studencka, zgoda, ale chyba nie kawiarnia. Trudno bowiem się z tym pogodzić, że w południe jest jeszcze stołowa dla „prawników”, a w dwie godziny potem przestaje się w lokal kawiarni. Wszystko to pozostaje takie samo, zmienia się tylko raz. Stoją te same stoły — z brudnymi obrusami pod szkłem, te same krzesła, tylko bardziej równo postawiane i unosi się ten sam, nieświeży, „aromat”.

Schodzą się studenci. Siadają przy stołach, zaczynają ze sobą rozmawiać i emia przy tym papierosy, potem dla odmiany wstają, kupują w bufecie piwo czy lemoniadę i znów emia papierosy. Wszystko krótko, gnie w gestych obłokach dymu. Nie ma mowy o żadnym przewietrzaniu. Okna służą do wyglądania, zaglądania, ale nigdy do otwierania. Tak już są artystycznie pomyślane!

Pianino też jest, nawet jeszcze niezupełnie rozstrojone. Gdy dodamy znaczną domieszkę brudu i nadzwyczajną ciasnotę pomieszczenia, będziemy mieli wspaniały obraz tej „melny”. Przesażam? Wątpliwej zapraszam do „uroczej kawiarenki” przy ul. Kuźniczce.

TERESA LUBAŃSKA
UBB — Wrocław

Sprawa Antka Zimnego

(Dokończenie ze str. 1)

W zasadzie Antkowi było wszystko jedno, zda czy nie zda. Był już skończył tę mitrę... Tymczasem Zytinik przystąpił do rehabilitacji — walkowski kodeks w tę i z powrotem. Antek stwierdzał, że nie nie rozumie i znów zaczęli od początku.

Trzeba przyznać, że Zimny wchodził do gabinetu profesora bez zbytek entuzjazmu. Przy biurku rozlokowała się komisja, w skład której wchodziła również skarbniczka zarządu. Skarbniczka uśmiechnęła się do Antka. Uśmiech ten miał znaczenie, że ona jest po jego stronie i krzywdy mu zrobić nie da. Profesor podał Zimnemu tekst i kazał tłumaczyć.

Wszystko się pokiełbało. Antek patrzył tępo na cienkie linijki druku i myślał o ojcu, który będzie prał go po głbie. Potem przyszło mu na myśl, że jest synem klasy robotniczej i że dzieje mu się krzywda. Profesor oczywiście zawiązał się na niego, a to, że nie umie, nie jest jego winą, tylko... Jakoś w pierwszej chwili trudno mu było znaleźć winnego. Ale użalił się nad sobą — biednym, krzywdzonym. Spojrzał spode łba na profesora:

— Nie nie powiem, bo to jasne, że pan profesor chce mnie oblać. Dlatego, że jestem synem...

Zaciął się. Może pohamowała go nagła błądność profesora, wstręt na twarzach członków komisji. Tylko skarbniczka patrzyła nań ze współczuciem.

— Jak panu nie wstyd? — Antek pomyślał, że mówiący w zdenerwowaniu męczącym jest chyba czynnikiem społecznym, bo na uczelni go dotąd nie spotykał. — Jak pan śmie mówić w ten sposób?...

Antek nie czuł wstydu, czekał tylko, aż każą mu wyjść. Już on im łam powie, całemu zarządowi. Co są warte ich uchwały? Oblać. Jak żądają, żeby skończył studia — niech

tak mu wszystko układają, żeby go nie przemęczać. A jak nie — to bez łaski.

Tym razem zebranie zarządu było burzliwe. Znaleźli się nawet tacy śmiarkowie, którzy byli za usunięciem Zimnego z uczelni: „Uczył mu się nie chce, na wszystko gwizdę. Mamy go za uszy ciągnąć? I tak naci z tego będą”. Ale tych była mniejszość.

Skarbniczka twierdziła, że Zimny miał na egzaminie łąz w oczach, że teraz na pewno żaluje, przeżywa. Postanowiono rozwinąć szeroką batalię o ponowne przeegzaminowanie Zimnego. „Antek Zimny musi skończyć studia, nie pozwolimy wyrzucić go za burtę!

Sprawę ma rozstrzygnąć Ministerstwo. Antek Zimny przypuszcza, że uda mu się uniknąć ojcowskich pięści. Z pomocą zarządu.

ALEKSANDER MINKOWSKI

P.S. Historia Antka Zimnego jest — co autor stwierdza, z głębokim bólem — prawdziwa. Nie należy stąd wyprowadzać zbyt daleko idących uogólnień — wystarczy uświadomić sobie, że podobna historia zdarzyła się raz. I wyciągnąć wnioski.

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”.
Redaguje: kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18, ul. Wiejska 17/1. Telefon red. 841 24. Centrala 832-91.
Prenumerata: POPROSTU miesięcznie — zł 1,40, kwartalnie — 4,20, półrocznie — 8,40, rocznie — 16,80.
Administracja: RSW „Prasa”, III Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 6, tel. 807-11.
Drukarnia: RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 3/5.
Zam. 1022 B-6-5167

Wyjaśniamy wątpliwości dotyczące OSOSO

W związku z ogłoszeniem regulaminu OSOSO (patrz str. 8) szereg czytelników zwróciło się do Redakcji z prośbą o wyjaśnienie niektórych spraw. Zgodnie z zapytaniem — w bieżącym numerze udzielamy odpowiedzi na poszczególne pytania.

Jeśli uczestnik OSOSO nie odpowie na większość pytań i nie zechce się „zblamać” — to czy może nie oddać kuponu konkursowego?

Oczywiście może — OSOSO nie jest przecież imprezą obowiązkową, ale ciekawą i chyba pożyteczną rozrywką. Jednak nie oddając kuponu uczestnik zmniejsza szanse swej uczelni jako całości, bowiem ilość przyznanych jej tytułów MSO zależy od ilości oddanych kuponów. Z drugiej strony kupon tych, którzy nie zdobyła tytułów MSO, zostają zwrócone zaraz po obliczeniach, a więc nie pozostają ślad czyteli „nie-wiedzący”. (A po trzecie — skąd le obawy, przecież w OSOSO jest więcej zabawy niż egzaminu).

Dlaczego tytuły MSO uzyskują najlepsi uczestnicy w określonym stosunku procentowym, a nie np. po 2 (mistrz i wicemistrz) z każdej uczelni?

Gdyby tytuły MSO zdobywało tylko np. 2 studentów z każdej uczelni — wówczas

czas szanse studentów uczelni dużych byłoby wielokrotnie mniejsze niż szanse studentów uczelni małych (spółród 5 uczestników wyłaniałoby tytuł Mistrza z 1 i spośród 500). Natomiast wprowadzona w regulaminie OSOSO zasada daje wszystkim uczestnikom jednakowe szanse — bez względu na wielkość i charakter uczelni (na wyniki nie wpływa więc i ten czynnik, że studentom niektórych kierunków łatwiej będzie odpowiedzieć na pewne pytania).

Wątpliwe, aby ilość uczestników OSOSO była „okragła”, czy zatem np. spośród 86 uczestników wyłoni się 86 Mistrza?

Oczywiście wyniki będziemy zaokrąglali, więc jeśli w danej sali odda kuponów od 5 do 14 studentów z określonej uczelni — tytuł uzyska jeden z nich, przeto ilość od 15 do 24 — dwóch, od 25 do 34 — trzech itd., a spośród 86 — dziewięciu.

Jeżeli w jakimś środowisku OSOSO odbywa się w kilku miejscach, to czy uczestnicy-studenci z jednej uczelni muszą się zebrać w jednym z nich?

Niekoniecznie, bo jeśli w Warszawie OSOSO odbędzie się np. w DS na pl. Narutowicza i w auli PWSP — studenci UW mogą brać udział w obu miejscach i wtedy z obu grup niezależnie od siebie

będą zostali wyłonieni Mistrzowie (ich ilość w przybliżeniu będzie taka sama, jaka „wypadałaby” obu grup łącznie). Tym niemniej sprawa przedstawia się prościej tam, gdzie studenci z określonej uczelni biorą udział w OSOSO razem (np. w Krakowie).

Dlaczego nie wystarcza sama dodatnia punktacja odpowiedzi trafnych, ale za każdą odpowiedź błędną, poprawioną lub przekreśloną odejmuje się 0,1 punkta?

Po pierwsze dlatego, że szybka orientacja polega m. in. na pewności siebie (bez poprawek, przekreśleń), po drugie — rozróżnienie punktację co znacznie ułatwił szeregowanie wyników (gdyby spośród 100 uczestników — 16 uzyskało najwyższą punktację np. po 21 punktów — wówczas nie można by wyłonić spośród nich 10 najlepszych, natomiast będzie to możliwe, gdy ich punktacje będą wynosiły np. 21,6, 21,2; 21,4 itd.).

Dlaczego kupon OSOSO należy wypełniać atramentem, a nie ołówkiem?

Bo po pierwsze — tekst ołówkowy można wymazywać i przerabiać (co byłoby sprzeczne z w.w. zasadą), a po drugie — utrudniałoby pracę jury.

Co będzie, jeśli wyznaczone sale nie pomieszczą wszystkich chętnych do OSOSO i związanej z nią zabawy?

Gdzie odbędzie się OSOSO?

Zgodnie z zapowiedzią podajemy wykaz sal, w których wg informacji KO ZSP w dniu 21 bm. o godz. 18 odbędzie się Olimpiada:

BIAŁYSTOK

Aula AM, ul. Kilińskiego 1;

CZESTOCHOWA

Sala Przdowników, Dąbrowskiego 79;

GDANSK

Aula Politechniki Gdańskiej;

Aula WSE Sopot

KRAKÓW

Aula AGH;

Świetlica Politechniki;

Sala wykł. Geografii, ul. Grodzka;

Sala wykł. geografii, ul. Sienkiewicza;

Świetlica DS przy ul. Złaz;

Aula Domu Medyka, ul. Grzegorzewska;

Sala PWSA, ul. Boh. Stalingradu;

Świetlica ASP przy ul. Humberta;

Świetlica WSP;

LUBLIN

Aula im. Marchlewskiego, pl. Stalina 3;

ŁÓDŹ

Świetlica DS przy ul. Bystrzyckiej

OLSZTYN

Aula WSR Kortowo

OPOLE

Sala Gimn., ul. Luboszycka 5-9;

POZNAN

Świetlica DS, ul. Stalingradzka;

Świetlica DS na Winogradach;

Świetlica DS, ul. Szamarszewskiego;

SZCZECIN

Aula WSE

STALINGRAD

Aula MAIOR, ul. Boguelcka 3/3.

TORUN

Sala stołowych przy ul. Mickiewicza;

WARSZAWA

Sala PWSP, ul. Międzywiecia;

Sala DS przy ul. Narutowicza;

WROCŁAW

Sala im. Bolcera, pl. Uniwersytecki 1;

U w a g a: Gdyby w którymś środowisku adresy sal uległy zmianie lub gdyby zaplanowano dodatkowe punkty — komisje okręgowe ZSP (KU ZSP) powinny o tym we własnym zakresie zawiadomić studentów.

STUDENCI UCZELNI, W KTÓRYCH ZSP NIE ORGANIZUJE OLIMPIADY, MOGĄ PRZYBYĆ DO KTÓREJKOLWIEK Z SAL W ICH ŚRODOWISKU.

OGÓLNOPOLSKA STUDENCKA OLIMPIADA SZYBKIEJ ORIENTACJI

KUPON UCZESTNIKA

Nazwisko i imię — wpisać drukowanymi literami		Uczelnia, wydział i rok studiów	
Do poniższych rubryk uczestnik OSOSO wpisuje odpowiedzi na poszczególne pytania Olimpiady			
1	11	21	
2	12	22	
3	13	23	
4	14	24	
5	15	25	
6	16	OBLICZENIE WYNIKÓW (wypełnia jury) za odpow. trafne + 0 pkt. za odpow. błędne, przekreślone lub poprawione - pkt. wynik pkt. Podpisy członków jury	
7	17		
8	18		
9	19		
10	20		

FILARECKIE IGRASZKI



Zdjęcie konkursowe nr.



Zdjęcie konkursowe nr. 37



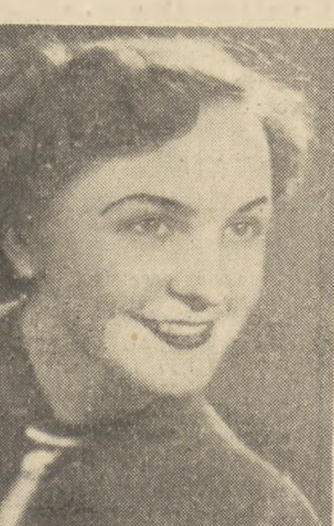
Zdjęcie konkursowe nr. 38



Zdjęcie konkursowe nr. 39



Zdjęcie konkursowe nr. 40



Zdjęcie konkursowe nr. 41

Zanim Mickiewicz stał się takim jakimś znany z pomników i portretów — wiesz — czem narodu i trybunem ludów, a jego przyjaciele, filomaci i filareci — „narodowej sprawy męczennikami”, bohaterami procesów, towarzyszącymi więzieniu i wygnaniu — byli oni po prostu studentami Wileńskiego Uniwersytetu. Jest to prawda ogólnie znana nam wszystkim. Jednak przeżycia z uniwersyteckich lat „górnej i durnej” mickiewiczowskiej młodości są znane nieco zbyt jednostronnie. A przecież młody Mickiewicz nie tylko górnymi strofami „Ody” przemawiał do swych przyjaciół, ale także rzucał im wesołe hasła: „Hej użyjmy żywota!”

Nie były wesołe te lata filareckiej młodości pod panowaniem Aleksandra I. A przecież jak zawsze tak i wtedy bawili się ludzie. I bawili się Wilno. Różne były te zabawy...

Przypominacie sobie zapewne z „Dziadów” opis jednej z takich zabaw — bal u Senatora. Pamiętniki współczesne przekazały nam więcej podobnych opisów.

Znane były w całym Wilnie pijackie orgie urządzone przez Nowosiłcowa i księżnę Zubow. Oto grono wilnian stoi przed domem ks. Zubow i ogląda niecodzienny widok. Pijana księżna, krzycząc w niebogłosy, huśta się nad głowami przechodniów trzymanych za ręce przez stojących w oknie i równie pijanych Nowosiłcowa i Bajkowa.

Wileńska arystokracja bawi się na „rajskich wieczorach” urządzone przez znanego hulakę Chackiewicza. Na tych „rajskich” wieczorach obowiązują uczestników zabawy „rajski strój”. Na sławne wileńskie maskarady, ks. Jarosław Potocki rozstrzelił majątek obliczany na „piętnaście tys. dusz”. Przebrały za kramarza, dla pokazania swej wielkopolskiej fantazji, rozdawał garściami pomiędzy uczestników zabaw cenne klejnoty. Panna Tekla Kaszydcówna przegrywa w karty cały swój posąg, wynoszący kilkaset tysięcy dukatów.

Tak bawił się wielki świat Wilna. Inne były filareckie zabawy.

Według teorii pedantycznego Zana zabawa powinna być „obok nauki, źródłem kształcenia umysłu, serca i ducha”. Ale filareckie zabawy bynajmniej nie wypływały tylko z chęci realizowania z góry przyjętych założeń. Przepojone były radością fantazją ludzi, którzy tak jak w pracę i naukę, tak i w zabawę potrafili wkładać cały swój żywiołowy, młodzieńczy entuzjazm.

Dwie były szczególnie ulubione formy filareckich zabaw. To — jak byśmy dziś powiedzieli — „studentyczne imprezy na świeżym powietrzu”

— owe słynne filareckie majówki i „turnieje na słowa” — konkursy krasomówcze.

Filareckie zabawy miały skromne początki. Zaczęły się one od wesołych uczt w gronie najbliższych Mickiewicza, do których należeli Zan, Czeczot, Malewski, Pietraszkiewicz. Najczęściej urządzano je dla uczczenia imienia któregoś z przyjaciół. Dalekie były te biesiady od wystawności magnackich balów. Pozostawiony przez uczestników opis jednej z tych uczt mówi, że stół zastawiony był „miódem, chlebem i serem holenderskim. Główną atrakcją wieczorów były popisy krasomówcze ich uczestników. A były one niezwykle bogate. Prawie wszyscy uczestnicy zabaw byli bowiem mniej lub więcej utalentowanymi poetami.

Oto imieniny Zana, „Tomaszowe”, których atrakcją jest „walka miódowa”, pojedynek poetycki między Zanem a Czeczotem. Wygrywa ten, kto piękniej, w poetyckiej formie, wysławi zalety miodu. Mickiewicz deklamuje „Prolog do bitwy”, Czeczot wierszowane „Winszowanie” dla Tomasza, a potem następuje ów sławny w historii filomatów „pojedynek miódowy”. Ten wielogodzinny turniej słowny razilby nas zapewne dziś rozwekłością i bladością tematu — ale kilometrowe i nie zawsze zgrabne wiersze przepojone były niezliczonymi wesołymi dygresjami i niekłamany humorem. Nie brak było i pikantnego dowcipu, jak w satyrycznym obrazku z wiersza Czeczota.

„Siedzi pleban na łożu
w zawieszistej minie
I oko niecierpliwie zwraca na
gospozię,
Co mu pchnie na kłodziaste uda
spodnie losie,
On, zaspan, szatę skromną
przyjmuje niebacznie
A ta sobie myśli pańską tłumaczyć
dziwacznie
Chyli się na poduszkę i pobożne
oczy
Po pulchnym dobrodzieju
z „udziękami powłoczy...”

Nikogo z tego grona nie ominęła uczta urządzana przez przyjaciół.

Obchodzono podobnie i „Adamowe”, imieniny Mickiewicza i „Jeżowe” poświęcone Józefowi Jeżowskiemu, i „Janowe” na cześć Czeczota, i „Jarosławowe” dla Franciszka Malewskiego. Jeśli pora roku pozwalała — urządzano biesiady na świeżym powietrzu.

Oto imieniny Pietraszkiewicza „O-nuffrowe”. W lasku zrobiony był szalaz z gałęzi, na drzewach zawie-

nie zamlicze” — śpiewał Czeczot, a Odynieć wtóruje mu strofami:

„Przy gawędzie i przy winie
Czarny smutek z myśli ginie
Ciek pijany losu zmiany
Wszystkie znosi lżej”.

Obowiązuje wprawdzie na filomackich biesiadach zasada, że każdemu wolno wypić tylko po trzy



Rys. J. Cwiernia

szo cyfry solenizanta upieczone z liści i kwiatów, humorystyczne malowidła, lampy. Pietraszkiewicz, nie spodziewając się uroczystości, zostaje przez Mickiewicza sprowadzony do lasu, niby na spacer. Ukryci w lesie przyjaciele witają go muzyką i okrzykami i rozpoczynają się ucztą, uświetnioną wierszami Mickiewicza, Czeczota i Zana.

Choć wiersze są główną atrakcją biesiad — nie obywa się przecież bez wina. „Na frasunek dobry trunk” — powtarzał Jan Czeczot. Pochwała kielicha zajmuje zresztą niemało miejsca w filomackiej poezji. „Soku z szampańskich pagórków przybył, nigdy ja pochwał twoich

kieliszki, ale jak świadczą wspomnienia, bywała ona często przekraczana.

Nie byli bowiem młodzi przyjaciele Mickiewicza pozbawieni licznych ludzkich słabostek, do których należała przede wszystkim słabość do miłych, młodych pań. Serdeczne więzy, jakie ich łączyły nie przeszkadzały w planowaniu sobie różnych kawałów. Ofiarą ich padał najczęściej Zan — serdecznie kochany przez przyjaciół, ale z powodu swej ogólnej znanej kochliwości i naiwności będący obiektem licznych żartów.

To wszystko jednak było tylko wstępem do właściwych, filareckich igraszek, słynnych majówek „promienistych”. Przekraczały one znacznie rozmiar pierwszych przyjacielskich biesiad. Wyruszano wczesnym rankiem w malownicze podwileńskie okolice. Rolę mistrza ceremonii odgrywał na tych wycieczkach Tomasz Zan. Ich atrakcją, obok bogatego repertuaru pieśni i wierszy pióra młodych poetów, były dziwne, przez Zana wymyślone, teorie i obrzędy.

Głosił Zan na wpół żartobliwie, na wpół poważnie swoją teorię promienistości. Promieniste było wszystko co dobre i piękne, promienisti byli ci, co postępowali zgodnie z

zasadami promienistości, a Arcypro-mienistym był sam Zan.

Po uroczystych przemówieniach i ceremonialnym pocałunku udzielanym przez Arcypromienistego na znak przyjaźni wszystkim zwolennikom jego teorii, przystępowano do bardziej przyziemnych rozrywek, gier i zabaw. I tu oczywiście nie obywało się bez uczt. Program ich różnił się nieco od uczt w cichym gronie przyjaciół. Aby przeciwstawić się stylowi zabaw i obyczajom hulających paniczek, promienisti rzucili hasło, że pijają tylko mleko. Zastawiano stoły mlekiem, wiewskim chlebem i bawiono się nie mniej wesoło niż przy kieliszku.

Niezwykłość tych imprez, dziwne, Zanowskie teorie, niewyczerpany humor i dowcip, cechujący promienistych, sprawiali, że na majówki ściągali tłumy studentów. O to też chodziło organizatorom zabaw — o wciągnięcie poprzez zabawy pod swoje wpływy jak najszerszych rzesz młodzieży w celu przejęcia jej ideami patriotyzmu i postępu. I cel swój osiągnęli. Promieniste zabawy były drogą do stworzenia kółek patriotycznych organizacji. Kontakt między nimi a ogółem młodzieży nawiązany na promienistych majówkach nie zerwał się po zakazie odbywania tych zabaw wydanym przez władze uniwersytetu.

Różne były nasilenia wesołości i humoru filareckich igraszek. Bez-troską wesołość pierwszych przyjacielskich uczt i majówek przytłaczać wkrótce zaczęły trudności życiowe, szlaki władz uniwersyteckich i policji.

Wilno aż huczało od nowinek i plotek jakie wywoływały te niezwykle promieniste zabawy. Straszne rzeczy, szeptało sobie na ucho o Zanie — że jest przywódcą sekty, krewnym niemiecckiego spiskowca Sanda, kto wie, czy nie zamyśla sam o spiskach politycznych. Opowiadały sobie wileńskie kumoszki, że Zan poznał młodą i piękną mleczarkę, chciał ją wzbogacić, stworzył więc sektę, w której pierwszym obowiązkiem jest picie mleka.

Ale nie tylko kumoszki gorszyły się Zanowskimi wybrkami. W sprawie wdała się aż kapituła wileńska. W skład majówkowego ceremoniału wchodził bowiem palcier, chórem odmawiany, a zwrócony do Zana: — „Ojcie nasz, promionku światła!... „Zdrowaś Feli, pełna światła promionko, Zan z tobą...” — zwęcało się do ukochanej Zana. Tęcza czcigodni ojcowie wytoczyli przed władzami uniwersytetu skargę o bluźnierstwo.

A jednak śpiewy, zabawy i przyjacielskie uczyły cały czas towarzyszyły filaretom — zawędrowały z nimi nawet do ponurych cel bazylikańskich w dniach śledztwa i procesu.

Moje „krasomówcze zwycięstwo”

Istnieje pogląd, że krasomówstwo — sztuka pięknego mówienia — jest najtrudniejszą ze wszystkich sztuk, a w każdym razie, że jest o wiele trudniejszą od sztuki pisania. Na dowód tego poglądu jego zwolennicy twierdzą, jeżeli np. pisarz użyje jakiegoś niefortunnego słowa lub zwrotu, posiada on możliwość naprawienia swego błędu, po prostu może owe niefortunne słowo przekreślić, zastąpić innym i wszystko będzie w porządku. Natomiast jeżeli mówca popełni gafę przez użycie niewłaściwego zwrotu lub słowa, nie może ich przekreślić. Najczęściej właśnie ów niefortunny zwrot przekreśla mówiącego w oczach słuchaczy. Dlatego — jak twierdzą — sztuka mówienia jest trudniejszą od sztuki pisania. Zawsze byłem zwolennikiem tego poglądu. Dziś jednak wątpię w jego słuszność. I to właśnie w chwili, kiedy przystąpiłem do pisania niniejszych uwag. Jednak pisanie, to także nielatawa sprawa.

W r. 1932 Zrzeszenie Prawników Polskich zorganizowało konkurs krasomówczy. Postanowiłem wziąć w nim udział, traktując zresztą całą sprawę bardzo s p o r t o w o. Zaznajomiłem się z warunkami konkursu. Jego uczestnicy mieli do wyboru pięć „casusów” (czyli mówiąc po prostu pięć spraw sądowych). Dwie z nich były z zakresu prawa cywilnego, a trzy z karnego.

„Casusy” z prawa karnego były ciekawsze. Najtrudniejszy z nich był następujący: syn zostaje oskarżony o zabójstwo matki. Brak prawdziwych dowodów winy, ale istnieją poszlaki poważnie go obciążające. Oskarżony nie przyznaje się do winy. Ale na ławie oskarżonych siedzi jego żona, która twierdzi, że pomagała mu w dokonywaniu zbrodni.

Zadaniem uczestnika konkursu było oskarżać lub bronić oskarżonego. Obrona wydawała mi się trudniejsza i właśnie dlatego ją wybrałem. Przygotowywałem swoje przemówienie w ten sposób, że w drodze analizy okoliczności sprawy starałem się wydobyc wszystkie argumenty przeciwko oskarżonemu, a następnie szukałem w materiale dowodowym danych, którymi argumenty te można byłoby obalić. W ten sposób opracowałem wstęp oraz zakończenie i... z niecierpliwością czekałem na dzień rozpoczęcia konkursu.

Nadeszła owa wyczekiwana sobota (konkurs trwał dwa dni: sobotę i niedzielę). Od rana byłem trochę zdenerwowany i podniecony. Zdenerwowanie moje powiększyło się jeszcze, kiedy w czasie losowania kolejności przemówie-

ni dowiedziałem się, że w konkursie biorą udział prawdziwi prokuratorzy i aplikanci adwokacy, zaś studenci stanowią zdecydowaną mniejszość uczestników. Poza tym miałem pecha, wylosowałem numer 8 czy 9 i miałem przemawiać jako ostatni w pierwszym dniu.

Na mówcy poczułem się skłopotowany. Sala, słuchając przemówień od paru godzin, była już zmęczona i głośnie. Uplynęła dość długa chwila zanim mogłem wypowiedzieć pierwsze słowa. Światło fotoreporterskich magnesów oślepiało mnie. Wstęp jakoś dziwnie mi się dłużył. Wyraźnie coś nie wychodziło to moje przemówienie. Mówilem już kilka minut, gdy w pewnym momencie uczynilem bardzo dwuznaczną i nieco zjadliwą aluzję pod adresem „prokuratora”. Usłyszałem na sali szmer. Wydawało mi się, że wyczułem w nim nutę sympatii. Zacząłem mówić odważnie. Coraz odważniej, a w miarę jak mówiłem, na sali robiło się coraz ciszej. Kiedy skończyłem swe przemówienie, na sali panowała zupełna cisza.

Następnego dnia znów denerwowałem się. Tym razem denerwowały mnie przemówienia konkursowców. Miałem wrażenie, że każdy z nich mówi dużo lepiej ode mnie. Kiedy po wyczerpaniu listy mówców jury ogłosiło wyniki, okazało się jednak, że zdobyłem największą ilość punktów, zajmując tym samym pierwsze miejsce. Znajomi i nieznajomi składali mi gratulacje. Było dużo śmiechu i radości.

Reportaż z konkursu ukazał się w tygodniku „Świat”. Dowiedziałem się o nim od znajomych składających mi jeszcze ciągle gratulacje. Musiałem mieć, jak to się mówi, dobrą prasę, bo teraz był już i tacy, którzy twierdzili, że jeżeli popełnił przestępstwo to tylko dlatego, ażebym ja ich bronił. Kiedy przeczytałem reportaż, ogarnęło mnie wzruszenie. Byłem dumny. Reportaż zawierał bardzo pochlebne zdania o moim przemówieniu. Z prawdziwą dumą przeczytałem następujący fragment: „Obrona burzy powoli gmac oskarżenia. Podkreśla luki w postępowaniu dowodowym. Powołuje się na autorytety z zakresu kryminologii, daktyloskopii, hematologii, socjologii. Zatrzymuje się nad momentami psychologicznymi nie mniej wnikliwie, niż to czynił stary Conan Doyle”. („Świat” nr 1654).

Natychmiast po przeczytaniu reportażu pobiegłem do Biblioteki Uniwersyteckiej. Jeżeli już zostałem uznany za tak wnikliwego jak Conan Doyle to nie wypadało nie wiedzieć, jak wnikliwy był Conan Doyle. Pożyłem „Psa Baskerville’ów”. Gorzej było z autorytetami z zakresu hematologii. Pod ha-

słem „hematologia” nie znalazłem w katalogu nic, co by mogło rozproszyć moją niewiedzę w tym przedmiocie. Pod hasłem „autorytety” również. A nazwisk żadnych nie znalazłem. Zapytałem się zaś o nie trochę nie wypadało. Nie umniejszało to jednak wcale mojej dumy.

Ale dość już tych wspomnień. Powróćmy do teraźniejszości. Dobrze się stało, że POPROSTU wystąpiło z inicjatywą zorganizowania turnieju krasomówczego. Powinien on wywołać duże zainteresowanie. Korzystając z tego, że udzielono mi miejsca na łamach POPROSTU pragnęlibym wysunąć pod adresem redakcji sugestie, iż warto by w przyszłym roku akademickim podjąć istniejącą kiedyś tradycję organizowania „Ogólnopolskiego Konkursu Krasomówczego”, w którym wszelby udział zwycięzczy konkursów eliminacyjnych z poszczególnych ośrodków uniwersyteckich. Konkurs należałoby tak zorganizować, aby zainteresował on nie tylko studentów, aby był imprezą nie mającą nic wspólnego z tym wszystkim co skrótowno nazywany utartym terminem nudy.

Moim zdaniem POPROSTU powinno odegrać dużą rolę w organizowaniu takiego konkursu. Byłbym Redakcją wdzięczny, gdyby zechciała ustosunkować się do mojej sugestii. Jeżeli zaś chodzi o studentów, wydzielili prawa UW to powitaliby oni wszelką inicjatywę ze strony POPROSTU w tym zakresie z uznaniem i radością.

Walery Namiotkiewicz
P. S. I jeszcze jedna refleksja, która nasunęła mi się już po napisaniu powyższych uwag: jednak sztuka mówienia jest rzeczywiście trudniejszą od sztuki pisania, niezależnie od tego, że pisanie takie jak moje nie jest wcale sztuką.
W. N.

Już za kilka dni

w sobotę, 21 maja, o godz. 18
odbędzie się pierwsza w dziejach

OSOSO

w której i Ty możesz wziąć udział
Szczegóły poniżej i na str. 7

Ogólnopolska Studencka Olimpiada Szybkiej Orientacji Regulamin

1. W OSOSO bierze udział każdy student (tka), który a)... — lubi różne konkursy, a w tym wypadku próbowałby odpowiedzieć na 25 pytań dot. ogólnych zagadnień młodzieżowych, naukowych, politycznych, kulturalnych, rozrywkowych itp.,

— nie zmartwił się trudnością odpowiedzi na niektóre pytania ani nie wyzecznie się ewentualnie zdobytego tytułu Mistrza Szybkiej Orientacji,

— i bardzo ucieszy się, jeśli dzięki trafnym odpowiedziom na większość pytań zdobędzie prawo uczestnictwa w V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów.

2. Redakcja POPROSTU w porozumieniu w terenowymi instancjami ZSP ustala dla poszczególnych środowisk i uczelni sale, w których odbędzie się Olimpiada. Wykaz tych sal niezależnie od ogłoszeń lokalnych zostanie opublikowany w POPROSTU z dnia 15 maja br.

3. W sobotę 21 maja o godz. 18 uczestnicy OSOSO zbierają się w wyznaczonych salach. Dla ułatwienia zadania sobie i jurorom każdy przynosi wycięty (lub przerysowany) z jednego z numerów POPROSTU kupon uczestnika (kupon ten sa zamieszczane w n-rach z dnia 17 kwietnia oraz 1, 8 i 15 maja), dobrze piszące wieczne pióro i podkładkę do pisania (np. zeszyt lub gazetę).

4. Po zajęciu przez wszystkich miejsc, przewodniczący jury (w skład którego wchodzi przedstawiciel Redakcji POPROSTU, pracowników naukowych, ZU ZMP i KU ZSP) otwiera otrzymaną z Redakcji zalakowaną kopertę zawierającą pytania Olimpiady, które następnie jeden z członków jury zaczyna głośno, po woli i wyraźnie odczytywać. Każde pytanie zostanie odczytane dwukrotnie, a po nim nastąpi okróślow przy danym pytaniu czas ciszy przeznaczony na wpisanie do kuponu odpowiedzi, oczywiście bez wzajemnego porozumiewania się lub odpisywania! (To nie egzamin!).

5. Po zakończeniu Olimpiady jury zbiera wypełnione kupony, a następnie ogłasza prawidłowe odpowiedzi na poszczególne pytania. Dzięki temu każdy z uczestników pamiętając swoje odpowiedzi i znając zasady punktowania może obliczyć swoją punktację niezależnie od obliczeń jury.

6. Bezwzględnie po ogłoszeniu odpowiedzi jury przystępuje do sprawdzania odpowiedzi i obliczania punktacji według zasady:

— za każdą odpowiedź trafną — 1 punkt dodatni,

— za każdą odpowiedź błędną, poprawioną lub przekreśloną — 0,1 punkta ujemnego.

7. Po obliczeniu punktacji jury przynajmniej tytuły Mistrzów Szybkiej Orientacji tym, którzy spośród uczestników OSOSO z danej uczelni uzyskali najwyższą ilość punktów, przy czym ilość Mistrzów = 1/10 ilości uczestników (np. jeśli student danej uczelni oddadł ok. 80 kuponów — tytuły MSO uzyskają ci spośród nich, którzy w punktacji zajmą 8 pierwszych miejsc).

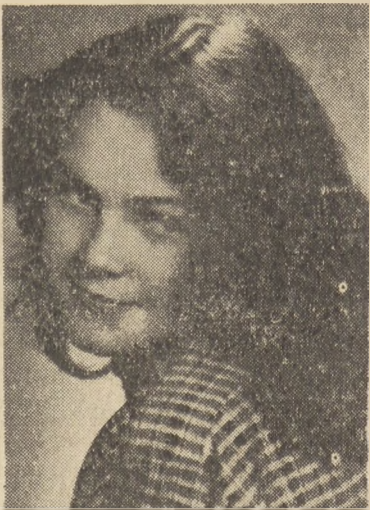
8. W tym samym czasie, gdy jury będzie obliczało punktację — w poszczególnych salach odbędzie się zorganizowane przez ZSP wesołe zabawy studenckie dla uczestników i uczestników Olimpiady. Podczas zabawy jury ogłosi nazwiska i punktację Mistrzów Szybkiej Orientacji. Punktację pozostałych uczestników mogą być ogłoszone tylko na ich życzenie. Ewentualne reklamacje uczestników jury przyjmują i sprawdza wyłącznie podczas tej zabawy zwracając równocześnie kupony tym uczestnikom, którzy nie uzyskali tytułu MSO.

9. Kupony Mistrzów Szybkiej Orientacji zostaną przesłane do Redakcji POPROSTU celem opublikowania nazwisk i punktacji oraz wyłonienia Mistrzów, którzy w skali ogólnopolskiej uzyskali najwyższą punktację, a tym samym zasłużyli na uczestnictwo w Festiwalu.

10. Wszelkie zapytania w sprawach regulaminowych, żądania wyjaśnień itp. należy nadysłać do Redakcji POPROSTU, która udzieli odpowiedzi na łamach pisma, w nr z 15 maja.



Zdjęcie konkursowe nr. 42



Zdjęcie konkursowe nr. 43